

INFORMATOR POLSKI

LATO
JESIEŃ '2017





POLAND – DENMARK – POLAND

INTERNATIONAL TRANSPORTS

- Groupage departure Monday / Wednesday / Friday.
- Daily full load truck transports Poland – Denmark, vice versa.
- Door to door transport / Distribution services all over Poland.
- Warehousing in Warszawa.
- Scandinavian logistic solution / services.
- Project transport / special transport / over dimensional transports.

Jumbo Transport

Denmark - Sweden
Norway - Estonia
Lithuania - Poland
Czech Republic
Slovakia - Hungary
Romania

The link between East and West

For further information, please contact

Jumbo Transport Eastern Europe ApS.
Gammelager 1
DK-2605 Brøndby
Tel.: +45 36 86 88 41

jth@jumbotransport.dk
www.jumbotransport.dk

Jumbo Transport Poland Sp. z o.o.
ul. Traktorzystów 18
PL-02 495 Warszawa
Tel.: +48 22 478 27 25

pb@jumbotransport.pl
www.jumbotransport.pl



Na okładce: kolaż archiwalnej okładki
„Informatora Polskiego”

INFORMATOR POLSKI

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY


Wydawca: Federacja „Polonia”
www.federacja-polonia.dk

Adres redakcji:
Ellemosevej 14, 4960 Holeby
Tel.: +45 61 86 33 31
E-mail: roman@smigielski.dk
Redaktor naczelny: Roman Śmigieński

Kolegium redakcyjne:
Torsten Elsvor
Wojciech Jagielski
Anna Kamińska
Maria Małaśnicka-Miedzianogóra
Patrycja Skłodowska-Kocewiak

Dział kolportażu i ogłoszeń: Roman Śmigieński
Skład i łamanie: www.iamdesigner.eu

Fotoskład i druk: **Dom Wydawniczy ELIPSA**

 Warszawa, ul. Inflancka 15/198
tel./fax +48 22 635 03 01

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych.
Anonimów nie publikujemy.
Zastrzegamy sobie prawo skrótów i adyustacji tekstów.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Przedsięwzięcie jest współfinansowane
przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”
ze środków otrzymanych od Kancelarii Senatu w ramach sprawowania
opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami
za granicą.



Cena: 25 koron



150. rocznica urodzin Władysława Reymonta



Gala ósmej edycji konkursu „Być Polakiem”



Lech Wałęsa laureatem nagrody europejskiej Polonii

W NUMERZE

- OD REDAKCJI | 2
- 25 LAT MINĘŁO JAK JEDEN DZIEŃ... | 3
- 50 NUMERÓW INFORMATORA POLSKIEGO | 4
- NA ZŁOTY JUBILEUSZ | 6
- ŁADNE ORLĄTKO | 7
- WSPOMNIENIE O FELICJI NOWAK | 9
- POLACY W DANII - WRAŻENIA Z DANII 1926 R. - CZĘŚĆ 1 | 11
- POWRÓT DO DOME CZKU | 14
- POZNAJMY WSZYSTKICH NOBLISTÓW | 17
- WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT | 20
- KŁOPOTY I TRUDNOŚCI POLSKIEJ OŚWIATY NA WILEŃSZCZYŹNIE | 23
- UNIA POLSKO-LITEWSKA - REAKTYWACJA | 27
- GALA "BYĆ POLAKIEM" | 29
- CAMINO LEBANIEGO | 30
- NAGRODY EUROPEJSKIEJ POLONII "POLONICUS 2017" | 32
- NOWE WŁADZE RADY POLONII ŚWIATA | 34
- O SARMATACH I WIKINGACH | 35
- REANIMACJA I ŚMIECH W KOPENHASKIEJ OPERZE | 36
- JOHANNES BUGENHAGENS POMMERN-HISTORIE | 39
- WYSTAWA „JOHANNES BUGENHAGEN - WOLINIANIN, DOKTOR POMERANUS, OBYWATEL EUROPY” | 43
- WSZYSTKO CO NIE JEST PROZĄ, JEST WIERSZEM | 45
- STOWARZYSZENIE KATOLIKÓW POLSKICH NA WĘGRZECH PW. ŚW. WOJCIECHA | 48
- NIK O ODZYSKIWANIU UTRACONYCH DZIEŁ SZTUKI | 50
- WITAMY W HOLANDII | 54
- PRZEPADŁ Z KROTOSEM | 55
- DUŃSKIE KANAPKI - SMØRREBRØD | 56
- ACONCAGUA W CIENIU ŚNIEŻNEGO STRAŻNIKA | 57
- KOŚCIÓŁ MARIACKI W CHOJNIE - SKARBIEC RZECZY NOWYCH I STARYCH | 59
- BISKUP KOPENHAGI NA BIERZMOWANIU W CHOJNIE | 60

OD REDAKCJI

Drodzy Czytelnicy!

Dokładnie 25 lat temu ukazał się pierwszy numer „Informatora Polskiego”. Z tej okazji przypominamy kilka tekstów, które ukazały się na naszych łamach w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. W ramach obchodów 500-lecia reformacji, kontynuujemy z poprzedniego numeru wspomnienia o Johannesie Bugenhagenie: Bent Christensen pisze (po duńsku) o dziele Bugenhagena - pierwszej historii Pomorza - „Pomerania”. Piszemy też o wystawie „Johannes Bugenhagen - Wolinianin, Doktor Pomeranus, Obywatel Europy”, którą otwarto 24 czerwca 2017 r. w Muzeum Regionalnym w Wolinie. Z okazji 150. rocznicy urodzin przypominamy sylwetkę polskiego noblisty Władysława Reymonta, m.in. autora „Ziemi obiecanej” i „Chłopów”. O szczecińskim stowarzyszeniu „Dom Nobla - Nobel's House” przybliżającym sylwetki zdobywców nagrody Nobla ze wszystkich krajów świata pisze Leszek Wątróbski. Omawiamy wydane ostatnio książki polskich autorów zamieszkałych w Danii: „Pociąg do smaku” Marty Eleonory Gajewskiej oraz „Zgryźliwy Sarmata i Wikingowie w papuciach” Adama Bielnickiego. Prezentujemy ostatni wywiad zmarłego niedawno dr Jana Gabriela Mincewicza, zastępcy mera Rejonu Wileńskiego. Kontynuujemy teksty ks. Ignacego Posadzego o Polakach w Danii, tym razem z 1926 roku. O odsłonięciu tablicy w Kluczach upamiętniającej Lone Mogensen-Masłoche pisze Maria Małaśnicka-Miedzianogóra. Odnotowujemy ósmą edycję konkursu „Być Polakiem”, uroczystość wręczenia nagród europejskiej Polonii - statuetek Polonicusa w Akwizgranie oraz wizytę biskupa Kopenhagi w Chojnie pod Szczecinem. W kąci kulinarnym zapraszamy na duńskie kanapki - smørrebrød. Poza tym w niniejszym numerze znajdziecie Państwo ciekawe materiały naszych stałych autorów: Adama Bielnickiego, Tadeusza Krotosa, Ewy Marii Jensen, Leszka Wątróbskiego.

Uprzejmie informujemy o możliwości wykupienia rocznego abonamentu w cenie 160 koron duńskich. Pieniądze należy wpłacić na konto „Informatora Polskiego”:

Danske Bank, konto: 4310 4310391433

z dopiskiem „Abonament IP”. Prosimy też nie zapomnieć o podaniu adresu, na który mamy wysłać „Informator”. Przyjmujemy duże i drobne ogłoszenia, także prywatne.

25

LAT MINĘŁO JAK JEDEN DZIEŃ...

„Informator Polski” obchodzi właśnie 25 urodziny. Wydaliśmy do tej pory 98 numerów. Mamy nadzieję, że setny numer uda nam się wydać w przyszłym roku. Urodziny pisma to okazja do podsumowania ewentualnych zysków i strat. Na pewno wiele się zmieniło od 1992 roku, kiedy to zmarły rok temu, redaktor Ryszard Strzelbicki trzymał w ręku pierwszy numer. W wywiadzie udzielonym w 2004 r., z okazji wydania 50. numeru „Informatora Polskiego”, Ryszard Strzelbicki tak wspominał początki naszego pisma: *W 1992 roku, chyba w lutym, wydaliśmy pierwszy numer. Ten pierwszy był pisany na maszynie do pisania. Przy powstaniu tego numeru działały trzy osoby: Grażyna Dołhań, Stefan Żórawski i ja. Kazimierz Mazur, posiadający własną drukarnię, wydrukował ten pierwszy numer za darmo - nie mieliśmy wtedy żadnych pieniędzy. Możemy tylko potwierdzić, że tak jak przed 25 laty, w dalszym ciągu nie mamy żadnych pieniędzy...*

Nasz stały felietonista Adam be w 2004 roku złożył nam takie życzenia na przyszłość: *niezależnie od tego, czy setny numer „Informatora” ukaże się w Kopenhadze zachowującej resztki autentycznego, duńskiego „hygge”, czy w megalopolis przypominającym Chicago, Denver lub może Abu Dhabi - życzymy naszemu Jubilatowi dalszych dziesiątek i setek równie ciekawych numerów. Rok później, w 2005 roku, pisaliśmy o 14-letniej wtedy córce polskich imigrantów w Danii Carolinie Woźniacki. Wyraziliśmy wtedy nadzieję, że spełnią się proroctwa ekspertów i marzenia Caroline, że zostanie ona najlepszą tenisistką świata, bo wtedy i na nas spadnie trochę chwały. Bo po raz kolejny udowodnimy, że Polak potrafi, a w szczególności, że Polka z Danii potra-*

fi. Wspomniane teksty zamieszczamy też w tym numerze.

Nasi autorzy w trakcie współpracy z naszą redakcją wydawali też książki np. Felicja Nowak „Moja gwiazda”, Edward F.K. Zarudzki „Polegli za Polskę. Polscy i Brytyjcy lotnicy na cmentarzach duńskich” oraz Maria Małaśnicka-Miedzianogóra „Róże dla Lone. Za wolność Polski i Danii (1939-1945)”. Tłumaczenie „Sonetów Krymskich” na język duński powstało wręcz na zamówienie naszej redakcji, po tym jak nasz stały współpracownik Bent Christensen przetłumaczył na duński zarówno „Boże coś Polskę” i „Mazurka Dąbrowskiego”. Wreszcie dwie książki powstały wyłącznie jako zbiór tekstów drukowanych poprzednio w „Informatorze Polskim”: ks. Władysław Zdunek „Myśli z parafii św. Mikołaja w Hvidovre” i Adam Bielnicki „Zgryźliwy Sarmata i Wikingowie w papuciach”. Tą ostatnią książkę omawiamy w bieżącym numerze.

Nie sposób wymienić wszystkich współpracowników pisma w okresie ostatnich 25 lat oraz osób, które wspomagały nas w przeróżny sposób, dzięki czemu „Informator Polski” ukazywał się regularnie, prawie bez zawirowań. Wymienimy więc tylko redaktorów naczelnych, którzy w różnych okresach stali na czele redakcji i starali się utrzymywać standard naszego pisma: Ryszard Strzelbicki, Jolanta Dobosz, Wojciech Jagielski oraz niżej podpisany.

Na zakończenie serdeczne podziękowania dla naszych czytelników, za to, że są nam wierni i że nas dopingują do dalszej pracy, gdyż bez czytelników wydawanie pisma nie miało by sensu.

Roman Śmigielski



50 NUMERÓW INFORMATORA POLSKIEGO

Wywiad z RYSZARDEM STRZELBICKIM

Kto był pomysłodawcą, inicjatorem pisma?

Prawdziwym inicjatorem założenia *Informatora* Polskiego był Stefan Żórawski. To trzeba podkreślić z całą stanowczością. Powstał wtedy Dom Polonii utworzony z inicjatywy różnych organizacji, takich jak: Ognisko, Związek Polaków w Danii, Koło AK, SPK, TP PUNO. Wszystkie te organizacje miały się przenieść do najlepszego lokalu, tj. Domu Polonii i tam wspólnie działać. Samą nazwę Dom Polonii zaproponował ks. Grochot. Wybraliśmy prezesa Domu Poloni – został nim właśnie Stefan Żórawski. I to on powiedział, że skoro jest Dom, to powinno być również odpowiednie pismo przy tym Domu – to był jego pomysł. Twórcą i założycielem pisma – tutaj trochę brak mi skromności – byłem ja. Jednak z miejsca wokół tego pisma zebrała się grupa ludzi, którzy pisali i pomagali przy jego tworzeniu. Na początku było ono bardzo skromne. W 1992 roku, chyba w lutym, wydaliśmy pierwszy numer. Kiedy popatrzyć na pierwszy i na ostatni numer, to różnica jest ogromna. Ten pierwszy był pisany na maszynie do pisania. A Kazimierz Mazur, posiadający własną drukarnię, wydrukował ten pierwszy numer za darmo – nie mieliśmy wtedy żadnych pieniędzy. Dopiero później zaczęło trochę ich przychodzić. Myśmy pisali to na maszynie, a Kazik składał to odpowiednio i drukował. I tak wyszedł pierwszy numer, przy powstaniu którego działały trzy osoby: Grażyna Dołhań, Stefan Żórawski i ja. Grażyna Dołhań była wyśmienitą graficzką i zrobiła szatę graficzną tego pisma. Szata ta przetrwała do dzisiaj po pewnych, minimalnych zmianach. No i przyszli ludzie, którzy zaczęli pisać: Olgierd Zalewski,

ks. Grochot (podpisywał się wtedy Ef-ot), Paweł Dąbrowa-Kostka, który pisał o harcerstwie. Ojciec Grochot sprawował duchową opiekę nad pismem. Z czasem dołączył również ks. Zdunek. Pierwsze dwa numery wydrukował Kazimierz Mazur, za co jestem mu bardzo wdzięczny. Za trzeci numer zapłaciliśmy mu, ale to były drobne pieniądze, zebrane ze sprzedaży dwóch pierwszych numerów. Następne numery zostały wydrukowane w Szczecinie, w drukarni znalezionej przez nas dzięki kontaktom Stefana Żórawskiego. Okazało się, że to się bardziej opłacało niż drukowanie w Danii. Była to nawet jedna piąta tych kosztów, gdybyśmy drukowali tutaj. Ta drukarnia w Szczecinie nie wykonywała druku najwyższej jakości, więc przenieśliśmy się do drukarni Uniwersytetu Szczecińskiego. Była to już drukarnia z prawdziwego zdarzenia. Ale nie mogli drukować w kolorze. Jednak dzięki moim kontaktom w Telewizji Szczecińskiej znaleźliśmy drukarnię, która drukowała w kolorze. I tak się zaczął kolorowy *Informator*.

Z jakimi kłopotami borykała się redakcja „Informatora”?

Na początku podstawowym kłopotem był brak funduszy. Jednakże wokół pisma zebrała się grupa ludzi, którzy uważali, że to pismo ma duże zadanie do spełnienia, jeśli chodzi o spójność Polonii. Byliśmy pierwszymi, którzy o tej spójności cały czas mówili. Jednym z wielkich entuzjastów zjednoczenia Polonii duńskiej był Grzegorz Tomaszewski. Był tym, który dysponował środkami i pomagał w rozwoju tego pisma – pomagał finansowo. Prócz tego pismo dobrze się sprzedawało: 300-400 egzemplarzy

każdego numeru. Również dochody z imprez, jak np. Dni Polskich w Kopenhadze, organizowanych przez Towarzystwo Kultury Polskiej, zasilają kasę *Informatora*. Później Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” zainteresowało się pismem i dostawaliśmy dotacje na druk. Wtedy skończyły się kłopoty finansowe.

A jakie cele założyło sobie pismo?

Pierwszym i podstawowym celem była jedność i wspólnota organizacji polonijnych w Danii. Entuzjastą tego był Grzegorz Tomaszewski, który cały czas mówił, że *Informator* ma być tubą, przez którą będziemy mówić o konieczności wspólnego działania – ale nie połączenia się – wszystkich organizacji polonijnych i duńsko-polskich. Grzegorz Tomaszewski był inicjatorem powstania Federacji. Niestety, nie dożył do tego momentu, a szkoda. To było jedno zadanie. Drugim zadaniem było krzewienie kultury polskiej. Tutaj wspólny język znaleźliśmy z Towarzystwem Kultury Polskiej, którego to Towarzystwa pismo stało się organem. *Informator* w pierw był organem Domu Polonii, później Towarzystwa Kultury Polskiej, a obecnie jest organem Federacji „Polonia”. To ostatnie zastało postanowione na pierwszym zjeździe Federacji w 1999 r. i Towarzystwo oddało *Informator* Federacji. Tak więc drugim celem było krzewienie kultury polskiej, krzewienie patriotyzmu i języka polskiego. Stąd działały pisma takie jak: „Na harcerskim tropie”, pisany przez Pawła Dąbrowę-Kostkę; „Ojczyzna-polszczyzna”, gdzie Krystyna Ellehauge pisała znakomite rzeczy o języku polskim; czy wreszcie „*Informator-biznes*” pisany wspólnie z Biurem Radcy Handlowego. Była też strona z wierszem, gdzie również zamieszczaliśmy notkę o autorze.

Jak odbywało się zbieranie materiałów do „Informatora”?

Zbieranie – to jest powiedziane bardzo łagodnie. To było często nakłanianie, zmuszanie – trochę żartuję. Ale trzeba było mieć duże kontakty z ludźmi. Przede wszystkim z tymi zamieszkałymi na terenie całej Danii: w Aarhus, w Aalborgu, na Fionii, na Lolland-Falster. Wszędzie tam, gdzie były środowiska polonijne. Były to kilku- lub kilkunastoosobowe grupy ludzi. Mieliśmy z nimi kontakty i często do nich jeździliśmy. My, tzn. Grzegorz Tomaszewski, Paweł Dąbrowa-Kostka, Stefan Żórawski i ja. Oni też przyjeżdżali tutaj do Kopenhagi. Wtedy namawialiśmy ich: piszcie! – i pisali. To była spora grupa ludzi chętnie piszących. To nie było pismo tworzone przez jednego człowieka, tylko przez wszystkich

piszących współpracowników. Ja tylko czuwałem nad tym. Przy czym żaden piszący nie dostał nigdy honorarium. Na przykład autor, którego nazwaliśmy Adam be, a za którym kryje się oczywiście Adam Bielnicki – wyśmienity historyk – od początku do dzisiaj w każdym numerze zamieszcza swój felieton. Te felietony są wyśmienite przez dobór tematu, język i tę odrobinę złośliwości. Równie wierną autorką tekstów jest Felicja Nowak.

Była to grupa ludzi, coraz większa i coraz szersza, którzy w tym piśmie chętnie chcieli się pokazać, i którzy wiedzieli, że to pismo zdąży w pewnym kierunku, który im odpowiadał. Trzeba też podkreślić, że zawsze mieliśmy dobrą współpracę z Ambasadą i Konsulatem. Ambasador Górecki był często zainteresowany zarówno pismem, jak i Towarzystwem Kultury Polskiej, ponieważ istniało sprzężenie zwrotne między *Informatorem* a Towarzystwem. Na bieżąco mieliśmy kontakty z attaché kultury Bogusławą Sochańską i konsulem Danutą Bolimowską. Zarówno wtedy, jak i dzisiaj Konsulat rozsyłał pismo do różnych adresatów. Wysyłaliśmy do Aarhus, Aalborga, na południową Jutlandię, do Maribo, na Fionię; po 20, 30 czy 50 egzemplarzy. W którymś numerze wydrukowałem nazwiska wszystkich osób, które z nami współpracowały. Było ich kilkadziesiąt. Były wśród nich też osoby spoza Danii, w tym z Polski. Na przykład pewien ksiądz z Białorusi pisał o sprawach miejscowych podając jednocześnie numer konta. Ksiądz prof. Walewander z KUL-u, który jest dyrektorem Instytutu Polonii przy tej uczelni, w pewnym okresie pisał dość często do *Informatora*.

Chciałem też wspomnieć o pewnej sprawie. Attaché wojskowy, komandor Ryszard Dziubiński „złapał” kontakt z weteranem, pilotem RAF-u, uczestnikiem bitwy o Anglię, prof. Edwardem Zarudzkiem. I tak profesor Zarudzki w kilkunastu kolejnych numerach drukował swoje wspomnienia.

A co Pan sądzi o dzisiejszym „Informatorze”?

Cóż, mogę być dziś dumny z tego, że szata i treść *Informatora* w zasadzie nie zmieniły się. Oczywiście, nowi ludzie mogą mieć nowe koncepcje, ale poziom pisma nadal jest bardzo wysoki. Tutaj trzeba powiedzieć, że po przejściu *Informatora* z Towarzystwa Kultury Polskiej do Federacji, duże zasługi co do poziomu pisma położył Roman Śmigielski.

Dziękuję za rozmowę.

Wywiad przeprowadził Wojtek Jagielski
Informator Polski nr 50, Zima 2004

NA ZŁOTY JUBILEUSZ



Spoglądając na pieczołowicie przechowywany pierwszy numer naszego *Informatora*, chciałoby się przywołać Andersenowską powiastkę o brzydkim kaczątku, co to ze skromnych początków przemieniło się w...

Otóż to - w co? W łabędzia nazywanego przez bohaterów nieśmiertelnego Wiecha „ozdobnym drobiem”? Chyba jednak nie jest to przenośnia zbyt trafna. Nie sugerujemy się poglądami duńskiego wieszczka i zgódźmy się po cichu, że małe, żółte kaczątko to stworzenie zabawne i rozkoszne w przeciwieństwie do białego, wypasionego gąsiora, który - jeśli w ogóle raczy się do brzegu pofatygować - to po to, by domagać się jedzenia i zanieczyszczać otoczenie.

Nasza obrazoburcza wykładnia Andersenowskiej bajki pasuje przecież na przykład jak ulał do miasta poety, Kopenhagi. I nie trzeba nawet porównań z XIX wiekiem. Wszak jeszcze w czasach, gdy ukazał się pierwszy numer naszego *Informatora*, duńska stolica była miłym i przytulnym miastem, istnym kaczątkiem żyjącym w umiarkowanym tempie pośród przyjaźnie nastrajającej zabudowy; gdzie zaufanie wzbudzał lokalny sklepikarz, spokojny rowerzysta i na ludzką modłę umundurowany policjant. A dziś pięćdziesiąte wydanie naszego Jubilatę przeglądamy w nieustającym ryku rozpędzonej, blaszanej lawiny, w cieniu szpetnych, szarych monstrów z betonu i żelaza straszących w coraz to nowych dzielnicach. Wszak od niedawna nawet do okien pałacu Królowej Jejmości zagląda dzieło przypominające rozdętą chłodnicę starego cadillaca. W mieście, gdzie należy mieć się dobrze na baczności, by nie zawrzeć bliższej znajomości z bohaterami innych bajek: ze Złodziejem z Bagdadu lub z Ali Babą i jego 40 blockersami. Zwłaszcza że również współczesny stróż porządku - łysy android w siedmiomilowych butach i błazeńskim kaszkiecie z łopatą zamiast daszka - nadzwyczajnego zaufania nie wzbudza!

„Ot, i dochowawszy się łabandzia” - jak mawiano nad Niemnem.

Z naszym „kaczątkiem” rzecz ma się zgoła inaczej (a warto wspomnieć, że pierwszy numer *Informatora* miał właśnie żółtą okładkę), bo choć pismo dorobiło się imponującej szaty, pozostało równie sympatyczne jak u początku kariery. A przypomnijmy, że powstało ono w zamierzchłych czasach, gdy najpopularniejszą bajeczką dla grzecznych dzieci były opowieści o saddamowej bombie, prezydent Clinton eksperymentował z najlepszymi cygarami, a Polacy dopiero nieśmiało marzyli o bodaj skromniutkim kąciku w jednoczącej się Europie i udziale w jakimś NATO-bis.

Zaś na przyszłość - niezależnie od tego, czy setny numer *Informatora* ukaże się w Kopenhadze zachowującej resztki autentycznego, duńskiego „hygge”, czy w megalopolis przypominającym Chicago, Denver lub może Abu Dhabi - życzymy naszemu Jubilatowi dalszych dziesiątek i setek równie ciekawych numerów. Życzymy, by - jeśli miałby stać się bohaterem jakiejś bajki Andersena - to na przykład owym rozsądnym chłopczykiem w „Nowych szatach króla”. Bowiem genialny pomysł Andersena z zadziwiająco trafnością oddaje mentalność rządzącego w jego ojczyźnie establishmentu, tyle tylko, że pod wielce postępową nazwą politycznej poprawności - nieodrodnego dziecięcia cenzury. A parający się publicystyką rodacy wielkiego bajkopisarza prędzej dadzą sobie ucho uciąć niż przyznają, że król jest nagi. Zaś gdy już zupełnie nie sposób ukryć faktu, że naprawdę wdepnęli w jakieś *guano*, staną na głowie, by przekonać kogo trzeba (a zwłaszcza siebie samych), że pogrążanie się w owej substancji to szczyt szczęścia i pierwszy los w dziejowej loterii.

Ale to przecież naszego Jubilatę nie dotyczy. Niech nas zatem, czy to w konwencji bajkowej, czy w przedstawianiu szarej codzienności informuje, inspiruje i bawi!

Adam be

Informator Polski nr 50, Zima 2004



ŁADNE ORLĄTKO

Nie jest to historia o brzydkim kaczątku, bo nasza młoda bohaterka jest ładna, a poza tym wolelibyśmy, aby z wiekiem przemieniła się raczej w orła niż łabędzia. Bohaterka ma 14 lat, 170 cm wzrostu, chodzi do ósmej klasy, mieszka w Farum (miasteczku położonym na północ od Kopenhagi), została nazwana „odkryciem roku 2004”, jest mistrzem Danii seniorów w tenisie i nazywa się Caroline Wozniacki.

Duński dziennikarz Joakim Jakobsen (Ud & Se, grudzień 2004) pisze o niej w sposób następujący: „Ta dziewczyna może stać się najlepszą tenisistką świata. Jest największym talentem duńskiego sportu od czasu piłkarza Michaela Laudrupa i golfisty Thomasa Bjørna. Amerykańska gwiazda tenisa Venus Williams dała jej swój numer telefonu, a sportowi menadżerowie ustawiają się do niej w kolejce.”

Trenerzy tenisa Bob Brett i Watt Landers, którzy m.in. trenowali takich zawodników jak Boris Becker czy Andre Agassi, oceniają, że Caroline ma wszystko to, co jest potrzebne, aby dotrzeć na sam szczyt światowego tenisa i to nie tylko do pierwszej dziesiątki (top ten), ale po prostu stać się najlepszą tenisistką świata!

Niezwykły talent Caroline niektórzy dziennikarze tłumaczą faktem, że ma ona „polskie supergeny”.

Rodzice Caroline, Anna i Piotr, są Polakami, którzy przyjechali do Danii pod koniec lat osiemdziesiątych. Oboje mają za sobą imponującą karierę sportową. Anna była siatkarką i grała w reprezentacji Polski, a Piotr uprawiał zawodowo piłkę nożną m.in. w Niemczech, a zakończył swoją karierę w duńskim klubie B 1909 w Odense. Oboje ukończyli w Polsce

studia sportowe, a więc znają nie tylko praktykę, ale i teorię.

Caroline uprawia gimnastykę od drugiego, a pływanie od czwartego roku życia. Jej o cztery lata starszy brat - Patrik - jest dobrze zapowiadającym się piłkarzem i oczekuje się, że już w tym roku grał będzie w pierwszej drużynie FC Nordsjælland w duńskiej Superlidze.

- „Caroline zawsze chciała robić to samo, co jej starszy brat” - mówi Piotr Woźniacki. „Kiedy Patrik zaczął grać w piłkę nożną, Carolina też chciała grać w piłkę. Gdy kilka lat później Patrik zaczął grać w tenisa, Caroline męczyła rodziców, że ona też by chciała...- „A, niech tam będzie!” - powiedział Piotr i wziął swą, siedmioletnią wtedy córkę za rękę i zaprowadził do klubu tenisowego w Køge, bo tam w owym czasie mieszkała rodzina Woźniackich. - „Wielokrotnie spędzaliśmy w klubie cztery lub pięć godzin. Trenowaliśmy uderzenia, urządziłem jej zabawy polegające np. na tym, aby trafić w rzeczy, które ustawiałem na korcie. Niektórzy z członków klubu patrzyli na nas z niezadowoleniem, że spędzamy na korcie tyle czasu. Ale ją coś do tego ciągnęło. Była zła, gdy chciałem skończyć po półtorej godzinie. Cóż ja mogłem poradzić? Z drugiej strony wspaniała sprawa - byłem z moją córką. Ilu rodziców spędza tyle czasu ze swymi dziećmi?”

Szybko okazało się, że Caroline ma niezwykle talent. - „Na początku powiedziałem Patrikowi, aby pozwolił jej od czasu do czasu wygrać gema. Aby dobrze się przy tenisie bawiła. Kiedy Caroline ukończyła dziewięć lat, ta zabawa się skończyła. Od tego czasu Patrikowi nie udało się z nią wygrać nawet seta.

W październiku 2004 r. Caroline osiągnęła szczyt w swojej dotychczasowej karierze. Wygrała, jako najmłodsza tenisistka w historii, duży turniej w Japonii – Osaka Mayor's Cup. Finał turnieju – jak policzył Piotr Woźniacki – obejrzało z trybun 4.862 widzów. Przeciwniczką w finale była Dominika Cibulkowa ze Słowacji. Na początku gry Caroline była bardzo nerwowa. Przegrała trzy pierwsze gemy. Od momentu, kiedy tablica wyników pokazała stan gemów 0:3, Caroline pokazała, że zarówno pod względem technicznym, jak i taktycznym jest „cudownym dzieckiem”, i że potrafi się skoncentrować. Japońska publiczność zaczęła klaskać i wołać: „Come on, Caroline. Come on, Denmark”. Caroline wygrała pod rząd 12 gemów i mecz wynikiem 6:3, 6:0.

Kiedyś rodzice jeździli na zawody Caroline na zmianę, teraz robi to tylko Piotr. Jest to bardzo kosztowna sprawa. Tegoroczny budżet podróży Caroline wynosi pół miliona koron. Problem ze

znalezieniem sponsorów można by bardzo szybko rozwiązać. Amerykanie ofiarują olbrzymie sumy za kontrakt z Caroline, co musiałoby oznaczać jej przeprowadzkę do USA. – „Tego nie chcemy, przynajmniej jeszcze nie teraz. Tutaj w Farum Caroline ma swoich przyjaciół, rodzinę i szkołę. Tylko w rodzinnym domu może zjeść to, co lubi” – mówi Piotr Woźniacki.

Mamy nadzieję, że spełnią się proroctwa ekspertów i marzenia Caroline, że zostanie ona najlepszą tenisistką świata, bo wtedy i na nas spadnie trochę chwały. Bo po raz kolejny udowodnimy, że Polak potrafi, a w szczególności, że Polka z Danii potrafi. A jeżeli tak się stanie, to nie zapomnij drogi czytelniku, że po raz pierwszy przeczytałeś o niej na skromnych łamach naszego czasopisma.

Roman Śmigielski

Informator Polski nr 51, Wiosna 2005



WSPOMNIENIE O FELICJI NOWAK

Kiedy pod koniec lat 90. ostatniego stulecia Felicia Nowak poprosiła mnie o wzięcie udziału w przygotowanym przez siebie wieczorze literackim, nie odmówiłem, ale nie spodziewałem się też, że na przestrzeni lat tych wieczorów będzie tak dużo, o tak różnorodnej tematyce, i że odbywać się one będą w tak wielu miejscach na polonijnej mapie Kopenhagi: w Ambasadzie RP, w Związku Żydów Polskich w Danii, w Gminie Żydowskiej, w Domu Polonii, w Stowarzyszeniu „Ognisko” i w klubie dyskusyjnym „Agora”.

Felicia Nowak była radiowcem. Dlatego też pogadanki literackie przez nią przygotowywane miały format audycji radiowej. Tekst rozpisany na głosy (żeński Felicji i mój męski) ilustrowany był odpowiednim podkładem muzycznym z obsługiwanego przeze mnie magnetofonu. Felicia Nowak dbała także o odpowiednią scenografię, którą nazywałem „ołtarzykiem Felicji”. Składały się na nią fotografie, oprawione przez Felicję Nowak w ramki, ilustrujące temat pogadanki, zapalone świece, flakoniki z kwiatami, książki omawianych autorów. Nie pamiętam wszystkich tych pogadanek, ale na pewno wiem, że były wśród nich wieczorki poświęcone Julianowi Tuwimowi, Antoniemu Słonimskiemu, Andrzejowi Szczypiorskiemu, Januszowi Korczakowi, Stanisławowi Jerzemu Lecowi, Antoniemu Marianowiczowi, Heinrichowi Heine, Marianowi Hemarowi, Romanowi Maciejewskiemu i Kazimierzowi Dejmowskiemu. Poza tym uczestniczyłem też w kilku wieczorach autorskich Felicji Nowak, na

których prezentowaliśmy jej wiersze lub fragmenty autobiografii „Moja Gwiazda”.

Książka Felicji Nowak „Moja gwiazda” ukazała się po polsku w 1991 roku, a następnie została przetłumaczona na angielski, niemiecki, duński i esperanto. Andrzej Szczypiorski w posłowie do wydania polskiego pisze m.in.: „Sądzę, że najmocniejszą stroną tej książki jest jej wewnętrzna uczciwość. Niepodobna mówić dzisiaj o wojnie i wojennej martyrologii bez takiej właśnie uczciwości... Książka Nowakowej jest swego rodzaju hołdem złożonym międzyludzkiej solidarności, jest świadectwem prawdziwej miłości bliźniego, jest ważnym dokumentem polsko-żydowskiej symbiozy historycznej, kulturowej, obyczajowej i nade wszystko moralnej”.

Jeden z wieczorów autorskich Felicji Nowak opisał Paweł Chromiński na portalu „polonia.dk”:

W siedzibie „Ogniska” przy Nørrebrogade 14B w Kopenhadze, dnia 26 marca 2004 roku, odbył się wieczór autorski Pani Felicji Nowak.

Jak wspomniała Autorka, wieczór ten był jej hołdem dla bohaterów Getta Warszawskiego, w związku ze zbliżającą się 61. rocznicą (19 IV) powstania w tym Getcie, po którym nastąpiła jego likwidacja i mordy setek tysięcy zamieszkujących w nim Żydów.

Pani Nowak zaczęła wieczór od zdania, że o radościach mówi się z ludźmi obojętnymi - o smutkach z przyjaciółmi. Ten wieczór nie należał do radosnych. Pani Felicia Nowak recytowała swoje wiersze do spółki z Romanem Śmigielskim. Oprawę dla przejmujących treści stanowiła muzyka, przytaczane fragmenty słuchowiska radiowego dotyczącego

jej poezji, a wreszcie zapalone na stole świece i fotografia autorki z dzieciństwa wraz z rodzicami.

Po sali potoczyły się słowa poezji. Słowa o tyle cenniejsze, że płynące prosto ze źródła, z serca osoby, która je stworzyła i po raz kolejny przeżywała swoją tragedię, uczucia, które od tamtego czasu nigdy jej nie opuściły.

Po recytacjach zapadła najpierw cisza, a później rozległy się brawa. Uczestnicy wieczoru dziękowali autorce za to, że odsłoniła przed nimi swoje uczucia. Ci, którzy pamiętali tamte czasy i być może przeżyli swoje tragedie, czynili to drżącym głosem i ze łzami w oczach. Później, przy lampce wina, toczyły się jeszcze dyskusje. Niektórzy zabrali tomiki wierszy ze sobą do domu, aby ponownie zagłębić się w słowa, które usłyszeli tego niezwykłego wieczoru.

W dzisiejszych czasach, kiedy narastają w Europie i na świecie nastroje nacjonalistyczne, kiedy nastroje

antysemickie porównuje się do tych z lat 30. ubiegłego wieku, należy głośno krzyknąć o tragedii Narodu sprzed lat. Świadectwo, które dała Pani Felicja Nowak jest w tym kontekście szczególnie cenne.

Felicji Nowak udało się to, co wydawało się mało prawdopodobne, a mianowicie pewna integracja polsko-żydowska i to wśród emigrantów. Polscy Żydzi przychodzili na jej pogadanki do klubów polonijnych, a Polonia - często po raz pierwszy w życiu - przekraczała progi klubów żydowskich czy wręcz Gminy Żydowskiej. Dzięki Felicji Nowak polskie słowo, polska literatura i poezja utrzymywała w nas wszystkich, a jest to szczególnie ważne na emigracji, miłość do polskiej kultury, do kraju naszych przodków, niezależnie od religii czy narodowości.

Roman Śmigielski

Felicja Nowak i Roman Śmigielski - wieczór poświęcony Antoniemu Słonimskiemu w „Ognisku” w 2006 r.



WRAŻENIA Z DANJI 1926 R. - CZĘŚĆ I

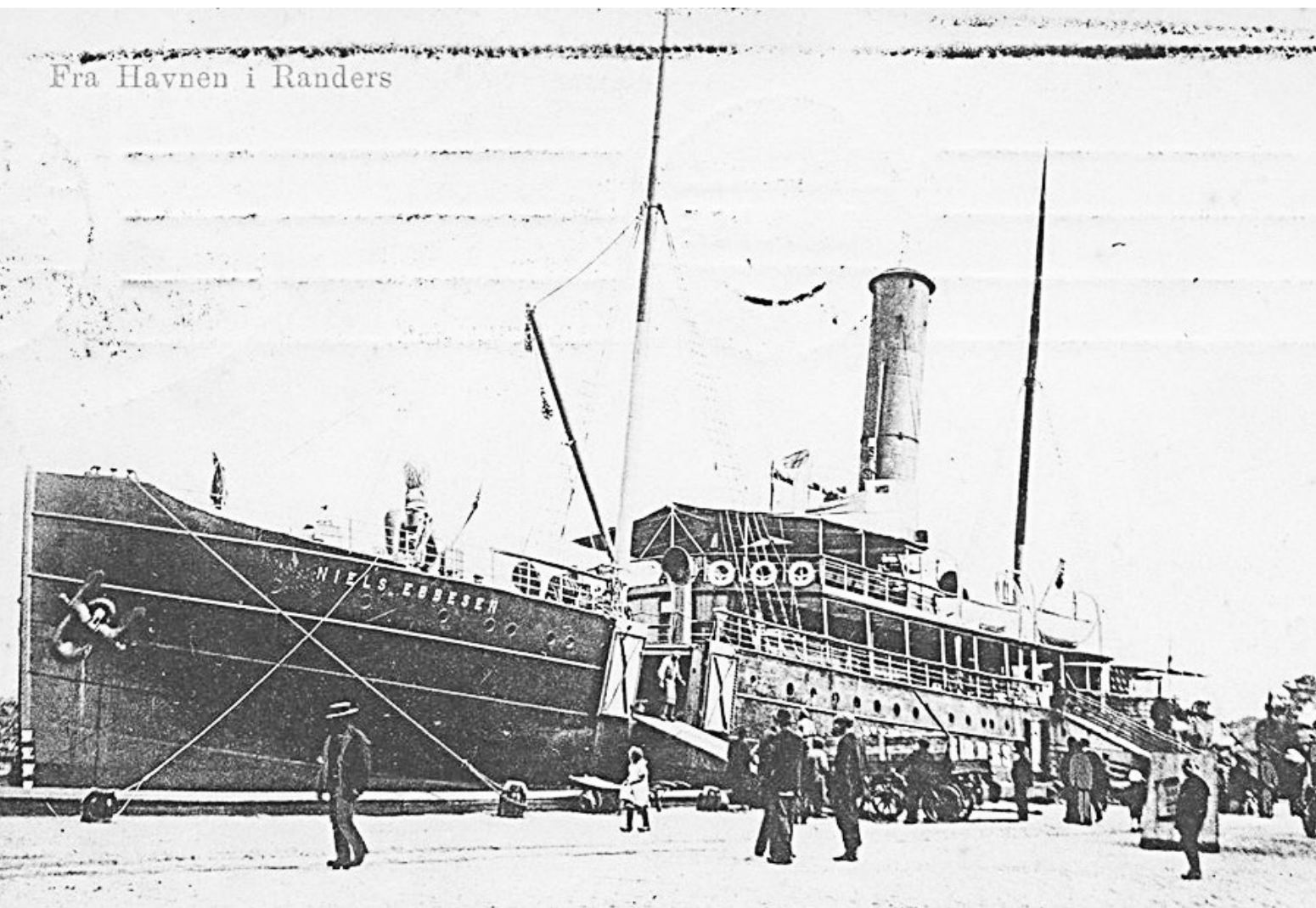
W cieniu duńskiej bandery - Lukulusowa uczta - Kapitalni towarzysze
- Szmaragdowym szlakiem - Polska pieśń - Za chlebem - Zwiastuny
burzy - Pilzner lekarstwem - Na rozhukanej fali - Brzegi Bornholmu -
Z wdzięcznym sercem

Urząd Emigracyjny przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej powierzył mi opiekę nad emigrantami, jadącymi do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Miałem ich odwiedzić do Kopenhagi, to jest do pierwszego miejsca postoju. Stanęliśmy w porcie gdańskim. Na nas już czekał „Niels Ebbesen”, okręt linii skandynawsko-amerykańskiej, przymocowany grubymi linami do żelaznych pali. Na okręcie uwijają się majtkowie, czyniąc ostatnie przygotowania, na pomostach zaś wrzask i hałas między przekupniami, którzy trzymają w rękę olbrzymie tyczki z przymocowanymi do nich koszykami napełnionymi owocem i czekoladą, zachwalając swój towar. Ryknęła syrena tak, żeśmy się o mało co nie powywracali. Zawarzały maszyny, podniesiono pomosty. „Niels Ebbesen” ryknął po raz drugi i trzeci głosem tubalnym, podniesiono kotwicę, zakotłowała się woda przy śrubach okrętowych i mijając setki statków i łodzi w porcie, wypłynęliśmy na szmaragdowe fale Bałtyku. Twarze wszystkie były poważne i uroczyste. W wielu oczach perlily się łzy, wszak niejedne z nich już nigdy nie miały oglądać ziemi ojczystej.

Godzina pierwsza. Dzwonek zwołuje na śniadanie. Zasiadliśmy do stołu. Wszystkiego byłbym się spodziewał tylko nie takiej obfitości. Nie przesadzam, dwadzieścia osiem dań! Homary, sardynki, węgorze, łososie, szynki burgundzkie, wątróbki gęsie i wszystkie inne nieznanne mi wytwory duńskiej sztuki kulinarnej. Szampana i wina zaś w bród. Siedzimy na wygodnych kanapkach i fotelikach przymocowanych do podłogi, mogących się obracać na wszystkie strony. Pierwsze miejsce zajmu-

je kapitan, stary lew morski, sześćdziesięcioletni Duńczyk. W mig zawieram, z nim znajomość, jak i z całym towarzystwem przy stole. Obok mnie siedzi pewien Norweczyk, który opowiada mi z zapalem, jak na małym żaglowcu wyruszył z rodzinnego Oslo na morze, by tam spędzić wraz z żoną i dziećmi trzy tygodnie wakacji. Mówił mi, że co rok urządzają sobie takie wakacje morskie, a kiedy tak błędzi bez celu jak Ulisses, z dala od rozgwaru życia codziennego, wypoczywa wyśmienicie. Po drugiej stronie sąsiaduje ze mną jakiś zadąsany Amerykanin o wyglądzie, trochę semickim, któremu w Polsce strasznie się nie podobało. Oczywiście, że otrzymał przyjacielską odprawę. Apetyt mają wszyscy doskonały. To też z zawrotną szybkością topniały sterty smakołyków. Humor był nadzwyczajny. Wesoło krążyły kielichy z rozkosznym nektarem i wesoło było w sercach, boć podróż zapowiadała się ciekawie. Zresztą wesoło nastrojała wspaniała sala jadalna, tonąca w powodzi kwiatów i zieleni, w której każdym zakątku rozsiadł się wykwint i elegancja.

Mijamy Hel. Jedziemy przez długi czas jeszcze wzdłuż wybrzeża półwyspu, ale niezadługo już brzeg osłonił się mgłą, ginąc powoli i rozplywając w dali. Wreszcie znikły ostatnie plamy na widnokręgu. Odtąd dookoła nas już morze tylko i niebo oddzielone linią eteryczną, niby lekką kreską na kryształowej kuli. Z nami lecą mewy krzykliwe, wychylające swe dzioby żarłoczne i rzucające się na wodę, gdy coś z okrętu upadnie. Im też rzuciłem zawiniątko, które ręka matki troskliwej za pazuchę włożyła, by synalkowi głodno nie było w drodze. Jeszcze raz po raz widać na morzu statki o żaglach rozpiętych,



niby ptaki o białych skrzydłach, przelatująca głębie powietrzne. Niektóre z nich, jak plamki srebrne, prześlizgują się na ostatnim rąbku widnokregu. Raz po raz też, ujrzysz jeszcze smugę ciemną, czarną, kończącą się w obłok bury rozwiewny, to parowce, owe włóczęgi móż i oceanów.

Wtem ku niebiosom poleciała polska modlitwa i polska pieśń: „Kto się w opiekę podda Panu swemu, a całym sercem szczerze ufa Jemu, śmieje rzecz może mam obrońcę Boga...”. Dziwny urok i jakaś potęga żywiołowa tkwi w tej pieśni. Toteż cudzoziemcy zdjęli z głowy nakrycia i słuchali w skupieniu, a niebo się otworzyło i nawet sam Bóg wsłuchiwał się w modły ludu polskiego na morzu. A tyle go jechało w świat daleki. Zebrałi się z całej Polski, ze wszystkich jej dzielnic. „Tosik by se ne jechało, ale chleba niema”. Z bólem opuszczają Polskę. „Tylem się napłakała - opowiadała mi jedna - gdym po raz ostatni była w kościele, gdym na cmentarz poszła,

gdzie spoczywają krewni i znajomi i gdym po raz ostatni żegnała naszą polską, kochaną biedę. Ale skorusieńko się dorobimy, to zaraz wrócimy, bo bez Polski żyć niepodobna”. I wszyscy tak czują i mówią.

Gorzej jednak z tymi, którzy przyjechali z Ameryki na krótki pobyt do Polski: „Ale u was bieda, ale u was nędza - rzekł mi jeden z nich pretensjonalnie - wy siedzita przecie na wulkanie. My, Amerykanie, dłużej już nie mogli wytrzymać w Polsce. U was wygod niema i lata niema, a deszcze ciągle padają i takie błoto”. I Bóg wie, jak jeszcze zaczęli wymyślać na „biedny stary kraj”, jak gdyby on za wszystko ponosił odpowiedzialność. Trzeba było więc prostować i pouczać i rozgrzewać egoizmem zatrute serca i przypominać święte obowiązki każdego Polaka. Jechali młodzi, młode dębaczki wiejskie, żądni wrażeń i przygód życiowych. Jechały starszki rozplakane, które dzieci ściągały do siebie, a które jechały na to, żeby wskutek nagłej zmiany warun-

ków życia, wkrótce złożyć swe kości Nowemu Światu w ofierze. Jechała z nami matka pewna, która, odwiedzwszy z trojgiem dzieci wioskę rodzinną, teraz wracała już z dwojgiem tylko. W cichej wioszczyźnie pod Sanokiem rozegrała się straszna tragedia. Tam przy swym dziecku umierającym stała jak lwica, której młode wydzierają. I wydarła je śmierć okrutna, a ona odtąd jak błędna chodzi i ludzi unika i płacze zawsze i powtarza: a mąż co powie?

Wiatr się zwiększa, a „Niels Ebbesen” kołysze się na dobre. Pokład pustoszeje, pasażerowie schodzą na dół do kajut, trzymając się poręczy. Tymczasem niebo zachmurzyło się i zaczyna padać deszcz obfity. Wiatr zachodni rozhulał się na dobre, gwizdząc i jęcząc złowrogo. Będzie burza! Słowo to groźne szło z ust do ust. Oby nas „Bóg zachował i Panna Częstochowska!” Gdy o szóstej zadzwoniono na obiad, już tylko mała garstka zasiadła do stołu. I znów było czego używać, począwszy od zupy rakowej, indyków i kurcząt, a skończywszy na melonach włoskich. Mój sąsiad Amerykanin o semickim wyglądzie już chorował i jęczał w kajucie i przeklinał Polskę, boć to tylko jej zawdzięczał chorobę. W sali jadalnej trochę duszno. Zaczyna mi się w głowie kręcić, więc wychodzę na pokład.

Wszędzie słychać rozmowy na temat choroby morskiej i jak jej uniknąć. Zabierali głos starzy bywalcy okrętowi, co to już czternaście razy przejeżdżali przez Ocean.

„Nic nie jeść” radzili, inni znowu: „dużo jeść”. Jakiś chuderlawy Szwed wołał piskliwym głosem, że najlepiej robi szklanka pilznera. Usłuchał tej ostatniej rady pewien otyły jegomość. Zeszedł do bufetu, balansując jak linoskoczek i wywijając rękoma na wszystkie strony. Puściwszy się klamki, wpada na żardinierkę, a, odbiwszy, się od niej - znowu na okna, a z okna już z całym impetem na bufetową. Padając jej w objęcia, jęknął: „proszę szklankę pilznera”. Lecz i pilzner nie pomógł...

Ciemno dokoła. Wiatr dmie z całej mocy, a Bałtyk wyje i szumi. Statek trzeszczy. Łowię uchem z mrocznej dali i głębi jakby jęki jakieś przygłuszone. Dokoła nas zbiegają się góry wodne, jakieś niby zręby skał, poszarpane grzbiety i turnie zębate. Zdaje się, że morze pomieszało się z chmurami, a chmury z morzem. Tumany kropel wodnych podnoszą się i jakby słupy białego dymu, wpadają na pokład, przelatują i splukują wszystko. Bezustannie słychać świst gwizdawk, to znaki dla sterników. Maszyny pracują parą. „Niels Ebbesen” zarył się czubem w rozhukanej fali. Śruby okrętowe zwisają w powietrzu. To znów tył okrętu zanurza się głęboko, „Niels” staje dęba, by jak rączy rumak wspiąć się na rozczochrane grzbiety fal.

Kapitan trąbi mi do ucha groźne słowo „sztorm”. Burza rozszałała na dobre. Na pokładzie tylko ów Norwegczyk w płaszczu gumowym z fajeczką w ustach, oburącz trzymając się żelaznej liny. W kajutach wszyscy chorują i wiją się z bólesci. Zmęczony burzą wchodzę do kabiny, pokoiczku wybitego aksamitem czerwonym. Położyłem się do łóżka, ale jak tu zasnąć, kiedy raz głowa w dole, a nogi w górze, to znów odwrotnie, a w uszach bezustannie huczy burza i melodia marynarskiej piosenki: „A teraz zaśniemy na morskim dnie i Bóg niech będzie z nami”.

Nad ranem morze nieco się uspokaja. Mijamy wyspę Bornholm, która wchodzi już w skład państwa duńskiego. Jest to skała granitowa, stercząca wysokimi brzegami ponad powierzchnię Bałtyku. Mijamy główny port i stolicę Rønne, dalej słynne ruiny Hammerhus. Właściwą stolicą dla połączonych państw Danii, Norwegii i Szwecji było miasto Lund, położone w Szwecji. W wieku XIII zbudowali arcybiskupi lundzcy zamek Hammerhus, wśród romantycznych skał i urwisk bornholmskich. Odkąd jednak państwa północne odpadły od Kościoła, zniesiono arcybiskupstwo w Lundzie, a zamek Hammerhus począł rozpadać się w gruzy. Zdaleka pozdrawiają nas jego baszty, rozpadłe mury i wały obronne, porośnięte chwastami: wszystko wymowne świadki minionej chwały i potęgi. Uroczę jest to skalne wybrzeże Bornholmu. Prąd morski wyrzeźbił z czasem jego skały i nadał mu dziwne kształty. Nieraz w urwiskach spadają one prostopadle do morza, a ich szczyty przedzielają zielenią pokryte parowy. To też nie dziw, że opiewają je w pieśniach słynni poeci Północy.

Pomału na okręcie nastrój się zmienia, twarze się wypogadzają. Do obiadu zasiedli znów wszyscy. Jakiś Szwed wzniósł toast na cześć kapitana za to, że kierując szczęśliwie okrętem, uchronił nas od niechybnej śmierci. Myśmy zaś dziękowali Najświętszej Pannie, śpiewając „Serdeczna Matko”, starodawną pieśń Jej chwały.

Ks. Ignacy Posadzy

Kurier Poznański 525 i 533 (1926)



„Domeczek”

POWRÓT DO DOME CZKU

Niecały rok po odsłonięciu w czerwcu 2016 r. tablicy przy kościele Św. Ansgara w Kopenhadze - miejscu ślubu dwojga niezwykłych ludzi Polaka por. Lucjana Masłochy i Dunki Lone - Anny Mogensen-Masłochy, mieszkańcy Kluczy i Jaroszowca uczcili pamięć o Annie.

Na początku maja 2017 r. została uroczystie odsłonięta tablica z pięknym profilem Lone na budynku zwanym przez mieszkańców Pałacem a przez Lone Domeczkiem. Napis w języku polskim i duńskim głosi: „W tym domu urodziła się 26 X 1921 i mieszkała do 1936 r. Anna Louise Kristine Masłocha z d. Mogensen. Członek duńsko-polskiego ruchu oporu podczas okupacji niemieckiej w Danii w latach 1940-1945. Zamordowana przez Gestapo 3 stycz-

nia 1945 r. Odznaczona Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari.”

Ojciec Lone, inżynier Knud Mogensen, był dyrektorem technicznym cementowni w Jaroszowcu a sama Anna dorastała w niezwykle patriotycznym choć wielokulturowym środowisku, które tworzyli z jednej strony cudzoziemscy właściciele cementowni i zarządzający nią dyrektorzy, z drugiej polska kadra techniczna zakładu i okoliczni mieszkańcy. Pobyt rodziny Mogensen w Polsce przypadł na czas świeżo odzyskanej niepodległości i odbudowy polskiej państwowości. Anna chodziła do szkoły w Kluczach, następnie do 1. klasy gimnazjum w Olkuszu, które ukończył jej średni brat Jørgen, późniejszy konsul w Gdańsku i Warszawie, członek tajnej organizacji „Gryf Pomorski”, więzień niemieckich obozów koncentracyjnych.

Rodzina Mogensen brała czynny udział w życiu mieszkańców, razem z nimi obchodziła dorocz-



Maria Małaśnicka-Miedzianogóra z mężem

ne święta i uroczystości państwowe. Matka Lone wyhaftowała sztandar dla nowo utworzonej szkoły w Kluczach a członkowie rodziny uczestniczyli w ceremoniach związanych z kolejnymi rocznicami odzyskania niepodległości. Wszyscy mówili po polsku.

Lone kochała ten dom. Tu miała swą przyjaciółkę, Danusię, która dar Lone - pierścionek - zabrała ze sobą do trumny, gdy chora na nieuleczalną wadę serca odeszła w bardzo młodym wieku. Obok mieszkały koleżanki - towarzyski wypraw w świat krajobrazów Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej i Pustyni Błędowskiej. Tu rósł wielki kasztan, z jego wierzchołka można było podziwiać rozległe widoki rzadko dostępne na nizinach i równinach Danii.

Żyjąc na co dzień w dwu kulturach, Lone przejęła z obu najlepsze wartości, które doprowadziły ją do ruchu oporu - polskiej organizacji wywia-



Oryginalny aparat fotograficzny Lone Anny Mogensen-Masłochy

dowczej „Felicja” w Danii i duńskich organizacji „Holger Danske”, „Hjemmefronten” i „Studenternes Efterretningstjeneste”. W obu wykonywała ważne zadania. Jako fotograf z wykształcenia sporządzała mikrofilmy materiałów wywiadowczych, przewoziła części do radiostacji, urządzenia naprowadzające samoloty, konspiracyjną pocztę, przez Sund do Szwecji. Brała udział w zabezpieczaniu tras kurierskich „Felicji” przez Niemcy, Danię do Szwecji, w przygotowaniu fałszywych paszportów dla uciekinierów z niemieckich obozów i wielu innych pracach.

Głównym inicjatorem idei uczczenia Lone był znany miłośnik Kluczy Andrzej Maniak, który zapalił do pomysłu Wójta Gminy Klucze Norberta Bienia. Wójt też objął wydarzenie Honorowym Patronatem. Ceremonię przygotowali: Gminny

Ośrodek Kultury w Kluczach, Gminna Biblioteka Publiczna oraz grupa organizacyjna z Jaroszewca.

W odsłonięciu tablicy wzięli udział ważni goście - przede wszystkim przybyła z Danii córka Jørgena Mogensena i Barbary Chelmskiej Mogensen - Inger Józefa Chelmska zwana Krupką, bratanica Lone. Danię reprezentowali także: Julie Herschend Christoffersen - sekretarz Ambasady Królestwa Danii w Polsce oraz Janusz Kahl - konsul honorowy Królestwa Danii w Krakowie. W swoim przemówieniu sekretarz Ambasady Królestwa Danii powiedziała: „Głęboko wierzę, że ta tablica jest nie tylko symbolem uhonorowania Lone, ale również symbolem silnych więzi pomiędzy Polską a Danią”. Z Danii przyjechała także autorka książki poświęconej Annie Mogensen „Róże dla Lone” wydana przez Instytut Pamięci Narodowej.

Ceremonię uświetnili przedstawiciele środowiska politycznego i społecznego Kluczy i Jaroszewca: Agnieszka Ścigaj - poseł na Sejm RP, Marcin Cockiewicz - radny Województwa Małopolskiego, por. Czesław Grzanka - prezes Światowego Związku Żołnierzy AK (Koło w Kluczach) oraz Michał Masłowski - prezes Klubu Historycznego im. Armii Krajowej w Olkuszu. Wymienieni goście oraz wójt gminy Norbert Bień i przedstawiciele mieszkańców Jaroszewca złożyli pod odsłoniętą tablicą wiązanki białych i czerwonych kwiatów. Pomimo ulewnego deszczu na uroczystość przybyli licznie mieszkańcy Jaroszewca, przedstawiciele samorządu gminy Klucze, dyrekcja oraz nauczyciele i uczniowie Szkoły Podstawowej w Jaroszewcu.

Tablicę, na której z lewej strony widnieje godło Danii, z prawej godło Polski poświęcił ks. Jan Wieczorek, proboszcz tutejszej parafii. Po poświęceniu tablicy uczestnicy usłyszeli znamienne słowa wójta Kluczy „Lone wróciła do swojego Domeczku”.

Uroczystości uświetniło widowisko pt. „W domeczku i w domu”. Jego scenariusz został oparty na książce „Róże dla Lone” a także na innych materiałach źródłowych, m.in. związanych z historią Jaroszewca. Spektakl przygotowała grupa teatralna działająca w Domu Kultury „Hutnik”. Akt pierwszy opowiada o życiu rodziny Mogensen w Polsce, w Kluczach, o jej serdecznych relacjach z polskimi sąsiadami. Na scenie pojawia się młodziutka Lone z warkoczami i jej polskie przyjaciółki. Przejmująca jest scena pożegnania z Polską, które Lone i jej koleżanki bardzo przeżyły. Akt drugi „W domu” pokazuje Lone w Danii już jako bojowniczkę uczestniczącą zarówno w działalności „Felicji” jak i duńskich grup oporu. Widzowie mogli zatem obserwować Lone-Annę z nieodłącznym aparatem fotograficznym w ręku, który z okazji spektaklu

został wypożyczony przez autorkę książki; Lone w czasie przekazywania tajnych meldunków; wreszcie Lone podczas ceremonii ślubnej w kościele Św. Ansgara w Kopenhadze. Scena końcowa spektaklu zrobiła wielkie wrażenie na widzach. Zakochana para w spokoju świętuje swe zaślubiny. Jest późny wieczór. Lone pisze list do matki, w którym opowiada, jaka jest szczęśliwa. W ciszę tej niezwyklej chwili wdzierają się zabójcy, którzy oddają strzały do obojga. Zapada kurtyna i zapada milczenie. Dopiero po chwili burzliwe oklaski nagradzają cały zespół i reżysera widowiska - panią Ewę Stańczyk, na co dzień kierowniczkę biblioteki w Jaroszewcu. Płyną gratulacje - od Sekretarza Ambasady Danii w Polsce, konsula honorowego Danii w Polsce, od Krupki Mogensen, od autorki książki, przedstawicieli władz, polityków, widzów z Kluczy i Jaroszewca.

W programie uroczystości zaplanowano także spotkanie z autorką książki „Róże dla Lone”, która opowiedziała, jak zainteresowała się postacią Lone, jak powstawała książka. Podziękowała szczególnie tym z uczestników spotkania, którzy swego czasu udzielili jej pomocy przy zbieraniu materiałów. Wielu słuchaczy miało ze sobą zakupione książki. Kierowniczka biblioteki poinformowała, że „Róże dla Lone” pojawią się w sieci bibliotecznej na terenie gminy, w tym w bibliotekach szkolnych.

Lone wraz z rodziną wyjechała z Kluczy do Danii, w 1936 r. Rozstanie z miejscem urodzin i wczesnej młodości było wielkim przeżyciem a wspomnienia swojej drugiej ojczyzny towarzyszyły Jej przez całe krótkie życie. „Są takie odjazdy, które tworzą granicę światła i cienia, są takie, które zostawiają za sobą czy to cień, czy światło, ale też są takie, które trwają zawieszony w czasie i przestrzeni, w blasku i mroku i próżno znaleźć ten nieuchwytny punkt, za którym coś się kończy, czy właśnie się zaczyna chociaż właśnie się kończy i właśnie zaczyna. Nie odjeżdża się przecież od Domeczku, nawet jeżeli wraca się do domu.” (Róże dla Lone, s. 68)

Maria Małaśnicka-Miedzianogóra



POZNAJMY WSZYSTKICH NOBLISTÓW

Rozmowa z Anną Szachowicz, przewodniczącą Stowarzyszenia „Dom Nobla - Nobel's House”

Wasze Stowarzyszenie „Dom Nobla - Nobel's House” jest pierwszym na świecie stowarzyszeniem przybliżającym sylwetki zdobywców Nagrody Nobla ze wszystkich krajów świata...

Powstaliśmy jako Towarzystwo Polska-Skandynawia. Skandynawia kojarzy się nam z przyznawaniem jednej z najbardziej prestiżowych nagród na świecie - nagrody Nobla (w 5 dziedzinach - m.in. w nauce i pokoju). Działając jako Towarzystwo Polska-Skandynawia zaczęliśmy przybliżać sylwetki noblistów. Chcieliśmy m.in. przybliżyć sylwetkę laureata literackiej nagrody Nobla - Winstona Leonarda Spencera Churchilla. Wówczas ambasador brytyjski zaproponował nam zmianę nazwy naszego Towarzystwa Polska-Skandynawia poprzez poszerzenie zakresu jego działalności. Mogliśmy więc, bez zawężania się wyłącznie do samej Skandynawii, prezentować Noblistów z całego świata oraz osiągnięcia ich ojczyzn i ich kulturę. Nie każdy z nas może przecież dotrzeć indywidualnie np. do Azji, Australii, Ameryki czy Afryki. Inauguracja naszej działalności miała miejsce 16 grudnia 2006 roku w Muzeum Narodowym w Szczecinie podczas Gali Noblistów z dziedziny medycyny za rok 2006. Sylwetki laureatów przybliżali szcześcińscy genetycy: prof. Jan Lubiński i dr Anna Jakubowska.

Prezentujecie obecnie laureatów Nagrody Nobla oraz kraje, z których pochodzą...

... ich dokonania oraz historię, gospodarkę i kulturę. Zajmujemy się także promocją twórczości i osiągnięciami wybitnych naukowców, polityków, literatów z całego świata. Patron naszego Stowarzyszenia - Alfred Nobel, Szwed-Europejczyk - sprawił, że jego osoba jest wciąż wśród nas - nie tylko przez swoje dokonania, ale również za sprawą uniwersalnej nagrody jego imienia, przyznawanej corocznie.

Są też Nobliści, o których się już nie pamięta, o których się zapomina.

Czy ktoś, poza naukowcami, zna postać kolumbijskiego pisarza Gabriela José de la Concordia García Márqueza? Przeciężni ludzie go nie znają i nigdy nie czytali. A takich jak on jest wielu. W tym roku wszedł na ekrany film o Marii Curie-Skłodowskiej w związku ze 150 rocznicą jej urodzin. To jest jedyna polska noblistka, która otrzymała tę nagrodę dwukrotnie, i którą nasz kraj może się z racji rocznicy pochwalić. Jeśli chodzi o naszych noblistów - o Marię Curie-Skłodowską czy Henryka Sienkiewicza - to oni dostali tę nagrodę w czasach, w których Polska była pod zaborami i formalnie nie istniała, ale oni nie wypierali się, że są Polakami.

Jakie formy działalności prowadzicie?

Jako Stowarzyszenie „Dom Nobla” staramy się przybliżać ludziom noblistów w różnych formach. Może to być prelekcja lub koncert, przybliżający muzykę, pieśni i tańce ich ojczyzny. Tak prezentowaliśmy np. sylwetkę noblistki chilijskiej Gabrieli Mistral, która znana była na całym świecie oprócz krajów komunistycznych. W Polsce byliśmy pierwszymi, którzy przybliżyli jej sylwetkę na tle muzyki chilijskiej. W dniu naszej prezentacji gościł u nas ambasador tego kraju. Zazwyczaj w czasie podobnych spotkań przyjeżdżają do Szczecina pracownicy ambasad krajów, z których pochodzą prezentowani przez nasze Stowarzyszenie nobliści. Ostatnia prezentacja noblisty miała miejsce 15 listopada 2016 roku. Był nim nasz rodak Henryk Sienkiewicz, którego setną rocznicę śmierci wówczas obchodziliśmy. Prezentowaliśmy jego twórczość. Były ponadto pieśni Stanisława Moniuszki, które śpiewali artyści warszawscy i poznańscy.

Z kim Wasze Stowarzyszenie współpracuje? Kto Wam pomaga? Kto Was sponsoruje?

Nikt nas nie finansuje. Nasze fundusze pochodzą wyłącznie ze składek. Jeśli się znajdzie jakiś sponsor, co naprawdę zdarza się bardzo rzadko, to



Anna Szachowicz, przewodnicząca Stowarzyszenia „Dom Nobla - Nobel's House” w Szczecinie (fot. Leszek Wątróbski)



Koncert na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie, gra Pomeranian Youth BIG BAND (fot. Leszek Wątróbski)



są to przeważnie posłowie i senatorowie oraz nasze miasto. Są to zazwyczaj bardzo symboliczne sumy - np. za wynajem sali, za kwiaty dla artystów czy druk plakatów i zaproszeń. Przeważnie nasze spotkania są biletowane i robimy je w formie koncertu w sali Księcia Bogusława w Zamku Książąt Pomorskich, Starej Rzeźni czy Klubie „13 Muz”. Współpracowaliśmy też z Wydziałem Filologii oraz Zakładem Stosunków Międzynarodowych i Europeistyki Uniwersytetu Szczecińskiego. W naszych spotkaniach bierze udział zazwyczaj pokaźna liczba osób. Na nasze koncerty przyjeżdżali goście nawet z Londynu czy Niemiec. Tak było na ostatnim koncercie poświęconym Henrykowi Sienkiewiczowi. Sprzedaż biletów oraz opłacenie artystów bierze na siebie Zamek Książąt Pomorskich.

Nasze Stowarzyszenie liczy 25 członków. Może to i niewiele? Uważamy jednak, że nie w ilości, ale w jakości siła. Lokalu własnego też nie mamy. Korzystamy z gościny Północnej Izby Gospodarczej. Mieliliśmy wprawdzie lokal, ale jego utrzymania było zbyt drogie. Nasze składki starczą nam wyłącznie na pokrycie kosztów korespondencji oraz bieżące wydatki. Wspomagał nas konsul honorowy Ukrainy w Szczecinie Henryk Kołodziej. Bardzo pomaga nam obecnie, jeśli chodzi o kulturę rosyjską, konsul honorowy Federacji Rosyjskiej w Szczecinie dr

Andrzej Bendig-Wielowiejski. Dzięki jego pomocy przybliżyliśmy naszemu środowisku wszystkich noblistów rosyjskich. Z nim nam się współpracuje najlepiej. Ciekawy był też koncert poświęcony Borysowi Pasternakowi, rosyjskiemu pisarzowi, autorowi „Doktora Żywago”, którego władze ZSRR próbowały zdyskredytować w oczach opinii publicznej i doprowadziły do kolejnego zawału i śmierci, i którego książka była tam na cenzurze. Rozmawiałam o nim z żoną ambasadora Federacji Rosyjskiej, który przyjechał do Szczecina na otwarcie konsulatu honorowego Federacji Rosyjskiej. Żona ambasadora mówiła mi, że zakazaną książkę Pasternaka można było znaleźć i przeczytać na ławkach w parku w odpisach. Każdy kto chciał, mógł ją mieć w takiej formie i podać po przeczytaniu następnemu. Wspomagał nas również, jeśli chodzi o sprawy brytyjskie konsul honorowy Wielkiej Brytanii i Francji w Szczecinie.

Robiliśmy też wyjazdy trasą noblistów. Byliśmy m.in. w hanzeatyckiej Lubece. To jest miasto 3 noblistów: Willego Brandta - a właściwie Karla Herberta Frahma, Thomasa Manna i Güntera Grassa. Jak tam byliśmy to Günter Grass był w Gdańsku. Zostaliśmy przyjęci przez panią burmistrz w ratuszu miejskim. Zwiedziliśmy niemal całe miasto, a szczególnie miejsca związane z życiem lubeckich noblistów.

Byliśmy też w Berlinie z okazji 15 rocznicy śmierci Wilii Brandta w Fundacji jego imienia oraz gośćmi u prezydenta Bundestagu, który wspominał jego działalność i wspólne z nim spotkania. Wcześniej zaś, w Warszawie, mój wujek osobiście spotkał Willi Brandta. Był wtedy kanclerzem Niemiec i wraz z Günterem Grassem składali kwiaty przed pomnikiem Getta Warszawskiego. Byliśmy też w Norwegii - w Oslo, w Instytucie Nobla, po którym nas oprowadzono. Odwiedziliśmy wreszcie Sztokholm, gdzie przyjęci zostaliśmy przez tamtejszego burmistrza, który oprowadził nas po ratuszu, pokazując, gdzie odbywają się bale noblistów. Miałam wreszcie okazję poznać noblistę Baraka Obamę w Niemczech, zanim jeszcze został noblistą. W Szczecinie było dotąd czterech noblistów: Lech Wałęsa, Michaił Gorbaczow, Tenzin Gjaco - XIV Dalajlama z Tybetu, oraz Egipcjanin Muhammad el-Baradei, wieloletni dyrektor generalny Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA).

Którego noblistę prezentowaliście w ostatnim czasie?

W kwietniu br., z okazji 5 rocznicy śmierci Wisławy Szymborskiej, zorganizowaliśmy koncert poświęcony jej pamięci i poezji. M.in. w koncercie wykonano jej ulubione pieśni, a są to pieśni jazzu amerykańskiego. W ten sposób weszliśmy niejako

w jej duszę. Były też jej wiersze, w recytacji uczniów gimnazjum. Grał „Pomeranian Big Band”, składający się z muzyków zawodowych oraz studentów i uczniów.

A czego można Państwu życzyć?

Chcemy tylko, aby wszystkie nasze plany zrealizowały się w 100%. Byłaby to duża promocja dla miasta, bo jesteśmy jedynym takim stowarzyszeniem w Polsce i w Europie. Przydałoby się też jakieś wsparcie, więcej sponsorów i zrozumienia.

I jeszcze coś o sobie samej...

...przewodniczę naszemu Stowarzyszeniu od samego początku. Z zawodu jestem ekonomistką. Babcia mojego ojca pochodziła z Norwegii, stąd moja fascynacja Skandynawią. A jeśli rozmawiamy o Norwegii, to właśnie w Oslo przyznawana jest Pokojowa Nagroda Nobla. Nagroda ta wskazuje nam, że wiele spraw należy załatwiać drogą pokojową poprzez dialog, szczególnie w dzisiejszym świecie - pełnym niepokoju i nieprzewidywanych wydarzeń.

rozmawiał **Leszek Wątróbski**

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Władysław Stanisław Reymont - powieściopisarz, nowelista, reportażysta.
Urodził się 7 maja 1867 we wsi Kobile Wielkie w pobliżu Radomska,
zmarł 5 grudnia 1925 w Warszawie.



Władysław Reymont

Był jednym z siedmiorga dzieci wiejskiego organisty, stosunkowo zamożnego i mającego ambicje wyprowadzenia dzieci na ludzi. Z Władysławem Stanisławem szło mu najgorzej: przyszyły noblista nie chciał się ani kształcić, ani uczyć gry na organach. Dzieciństwo spędził w Tuszynie, gdzie rodzina przeniosła się, kiedy miał rok. Aby dać mu fach do ręki, ojciec wysłał go do Warszawy do zakładu krawieckiego. Tu w 1883 ukończył Warszawską Szkołę Niedzielno-Robotniczą. Dla uzyskania miana czeladnika przedstawił komisji uszyty przez siebie frak, który podobno „nieźle leżał”. Jako osiemnastolatek przyłączył się do wędrownego trupy aktorskiej. Rodzina wyrobiła mu pracę niższego funkcjonariusza na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Nudził się na małych stacyjkach w Rogowie, Krosnowej, Lipcach. Powtórnie spróbował kariery aktorskiej. W 1890 związał się z adeptem wiedzy tajemnej, niejakim Puszwem, i wyjechał z nim do Niemiec szerzyć spirytyzm. Próbował odbyć nowicjat w klasztorze na Jasnej Górze. Znowu wyłudował na stacji kolejowej.

W 1894, po niespodziewanym debiucie literackim, przeniósł się do Warszawy i postanowił żyć z pióra. Kiedy jego sytuacja materialna znacznie się poprawiła, dużo podróżował. W latach 90. odwiedził Londyn, Berlin, Włochy, Paryż. W Paryżu zawarł cenne znajomości literackie, m.in. ze Stanisławem Przybyszewskim, Stefanem Żeromskim, Zenonem Przesmyckim. Poznał także przyszłego znakomi-

tego tłumacza „Chłopów” Franka-Luisa Schoella. W 1900 roku uległ poważnemu wypadkowi kolejowemu. Otrzymał za to duże odszkodowanie. Kontuzję leczył w Krakowie. Opiekowała się nim znajoma, Aurelia Szablowska. Opiekunka rozwiodła się z dotychczasowym mężem, wyszła za pisarza i wprowadziła porządek w jego niespokojne życie. Razem dużo podróżowali. Rewolucję 1905 i I wojnę światową przeżyli w Warszawie.

Reymont angażował się w działalność społeczną. Był prezesem Związku Pisarzy i Dziennikarzy, potem prezesem Warszawskiej Kasy Przewodności i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy. Uczestniczył także w zakładaniu pierwszej spółdzielni kinematograficznej. Po wojnie (1919-20) wyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych, gdzie w środowisku polonijnym szukał pomocy gospodarczej dla odbudowy zrujnowanego kraju. W 1920 kupił majątek Kołaczkowo, ale gospodarowanie szło mu kiepsko, tym bardziej, że zły stan zdrowia zmuszał go do przebywania głównie na Riwierze. Pochowany został na Cmentarzu Powązkowskim, a jego serce w Kościele Św. Krzyża.

Reymont był wybitnym reporterem, chłonącym rzeczywistość wszystkimi zmysłami i umiejącym przedstawić ją w szerokich panoramach społecznych. Ani naturalizm czy realizm jego utworów, ani elementy poetyki młodopolskiej nie wynikają z jakiejś przyjętej doktryny literackiej, lecz z jego sposobu obserwacji i asymilacji świata. Materią jego

twórczości była rzeczywistość, której sam doświadczył: wieś łowicka i wielkie miasto, prowincjonalne stacje kolejowe i teatrzyki objazdowe, światek spirytystów i mediów, życie polonii amerykańskiej. Utwory Reymonta dają ogromną panoramę polskiego społeczeństwa końca XIX i początku XX wieku.

Zaczął pisać jako urzędnik kolejowy, żeby wypełnić czymś pustkę jałowego życia. Początkowo wiersze i zapiski z codzienności, później opowiadania i nowele. Te ambicje literackie otoczenie traktowało z szyderstwem. W 1892 wysłał na ręce Ignacego Matuszewskiego do warszawskiego „Głosu” nowelę „Śmierć” i trochę korespondencji - i ku swojemu zdumieniu zadebiutował. Kilka następnych nowel przyjęła krakowska „Myśl”. To dodało mu odwagi, żeby bez grosza przenieść się do Warszawy i zająć wyłącznie pisaniem.

Przełomem w jego karierze literackiej stał się reportaż „Pielgrzymka na Jasną Górę”. W setną rocznicę Insurekcji do Częstochowy ciągnęły pielgrzymki rozmodlonego ludu. Jako korespondent „Tygodnika Ilustrowanego” Reymont wtopił się w tłum, przebył całą drogę i stworzył obraz ulotnej społeczności połączonej przeżyciem religijnym, a składającej się z różnorodnych barwnych postaci indywidualnych.

W czasie następnych 10 lat Reymont napisał 4 duże powieści, które na stałe weszły do historii literatury. Potem jego talent - może wskutek choroby - wyraż-

nie osłabł. Swoje powieści Reymont pisał w odcinkach i publikował w prasie. Tworzył z tygodnia na tydzień, niewiele zmieniając w wersjach książkowych. Pierwsza powieść, „Komediantka”, pojawiła się na łamach „Kuriera Codziennego” w 1895, wydanie książkowe miała rok później. Kontynuacją „Komediantki” była powieść „Fermenty”, publikowana w „Bibliotece Warszawskiej” 1896, wydana osobno 1897.

W 1896 Reymont podpisał umowę na nową powieść i wyjechał do Łodzi. W efekcie powstała „Ziemia obiecana” publikowana w latach 1897-98 na łamach „Kuriera Warszawskiego”, wydana osobno 1899. Stworzył w niej przejmujący obraz rozwijającej się młodej kapitalistycznej metropolii - obraz okrutny i demoniczny. Reymont narysował szeroki realistyczny obraz miasta: fabryki i kantory, restauracje i dworce kolejowe, parki i ulice, pałace bogaczy i rudery robotników... Kapitalistyczne miasto jest w powieści molochem, dziką metropolią tętniącą życiem i namiętnościami, w której dominują: żądza bogactwa, bezwzględność i okrucieństwo. W walce o pieniądze dozwolone są wszelkie chwyt: nieuczciwość, zdrada, kradzież, podpalenie, pozorowane bankructwo. W zderzeniu z tym światem przegrywają zasady moralne, poczucie lojalności i dobre intencje. Antyutopii fabrycznego miasta przeciwstawił Reymont utopię sielankowego

Portret Władysława Reymonta z 1905 r. autorstwa Jacka Malczewskiego



wiejskiego dworu kierującego się tradycją i trwałymi zasadami. Ekspresyjną obrazowość powieści uzyskał dzięki użyciu specyficznego języka, pełnego metafor i licznych przymiotników, mocnych opisów lirycznych i drastycznych. Dla dzisiejszego czytelnika powieść jest bardzo nowoczesna, frapująca w warstwie fabularnej, obyczajowej i społecznej.

W latach 1892-99 Reymont pracował nad swoją najsławniejszą powieścią „Chłopi”. Publikowana była w odcinkach w „Tygodniku Ilustrowanym” 1902-1906, wydana osobno 1904 (t. 1-2), 1906 (t. 3), 1909 (t. 4). Stworzył w niej bogaty obraz łowickiej wsi: ludzi i przyrody. O ile w „Ziemi obiecanej” rzeczywistym bohaterem byli fabrykanci jako grupa społeczna pozbawiona wewnętrznych więzów, to w „Chłopach” bohaterem jest gromada, zespołona wspólną pracą i wspólnym losem. Jak zwykle w powieściach Reymonta gromada składa się z niepozbawionych cech indywidualnych typowych przedstawicieli społeczności: jest dziedzic, ksiądz, organista, młynarz, bogaci gospodarze, wyrobnicy i żebracy... Rytuał ludzkiego życia podporządkowany jest rytmowi przyrody, która narzuca kolejność pracy i odpoczynku. Z rytmem przyrody związany jest porządek liturgiczny - święta kościelne i obrzędy ludowe - który przenosi życie ludzi i przyrodę w wymiar kosmiczno-sakralny. Krytycy byli zgodni, że malując bogaty obraz życia, pracy i obyczajów wsi, Reymont stworzył jednocześnie wybitną powieść realistyczną, epopeję chłopską i ponadczasowy mit życia człowieka i natury. Specyficzny jest język powieści: w dialogach używana jest gwara - nie kopia jakiejś istniejącej, lecz stworzona przez Reymonta stylizacja. W licznych i długich opisach

przyrody dominuje język liryczny o wyraźnej manierze młodopolskiej.

Za „Chłopów” otrzymał Reymont nagrodę Polskiej Akademii Umiejętności (1917) oraz Nagrodę Nobla (1924). Zwyciężył w godnym towarzystwie: konkurentami byli Tomasz Mann, Maksym Gorki i Thomas Hardy. Polska opinia publiczna uważała, że Nobla powinien dostać Stefan Żeromski.

W latach 1913-18 Reymont pracował nad wielką trylogią historyczną, jedynym ważnym utworem opartym na źródłach. Trylogia miała tytuł „Rok 1794” („Ostatni sejm Rzeczypospolitej” 1913, „Nil desperandum” 1916, „Insurekcja” 1918). Powieść jest rodzajem wielkiego zbeletryzowanego reportażu historycznego okresu powstania kościuszkowskiego, analizą przyczyn klęski.

Reymont napisał jeszcze wiele mniej znanych i mniej ważnych utworów, ale w historii literatury pozostał jednak głównie jako autor „Ziemi obiecanej” i „Chłopów”. Utwory Reymonta tłumaczone były na kilkanaście języków. W jego dawnym majątku Kołaczkanie znajduje się obecnie Muzeum Reymontowskie.

Halina Floryńska-Lalewicz



Dyplom Akademii Szwedzkiej

Władysław Reymont, 1867-1925, polsk forfatter. En af hans vigtigste romaner er *Det forjættede Land* (1899, da. 1945) om den opvoksende industriby Łódź, der ødelægger naturen og menneskene på legeme og sjæl.

I firebindsromanen *Bønderne (Høsten, Vinteren, Vaaren og Sommeren)*, 1902-08, samlet 1909, da. 1925-27 og 1959) skildrer han detaljeret bøndernes liv i samklang med naturen og årstiderne. Stor elskov og vilje til kamp om jorden behersker sindene som naturkræfter. Dette værk var baggrunden for, at Władysław Reymont blev belønnet med nobelprisen i 1924.

I 1913-18 udkom trilogien *Året 1794*. Karakteristisk for ham er den kollektive roman om en hel gruppes handlinger og skæbne, ikke studier i psykologi eller indlæg i den filosofiske, politiske eller sociale debat.

(Kristine Heltberg: Władysław Reymont i *Den Store Danske*, Gyldendal)

KŁOPOTY I TRUDNOŚCI POLSKIEJ OŚWIATY NA WILEŃSZCZYŹNIE

rozmowa z dr JANEM GABRIELEM
MINCEWICZEM,
zastępcą mera Rejonu Wileńskiego
rozmawiał LESZEK WĄTRÓBSKI

W pierwszych dniach grudnia 2016 roku w szpitalu w Santaryszkach zmarł nagle, w wieku 78 lat, jeden z najwybitniejszych działaczy i przedstawicieli społeczności polskiej na Litwie, śp. Jan Gabriel Mincewicz, doktor teologii, absolwent Wileńskiego Konserwatorium (1968, obecnie - Litewska Akademia Muzyczna), wieloletni nauczyciel muzyki w Wileńskiej Szkole Średniej nr 26, z której zwolniono go za działalność katechetyczną - prowadzenie tajnych lekcji religii, następnie w Szkole Średniej nr 1 w Niemenczynie jako nauczyciel muzyki i religii (1975-1992), ostatnio zastępca mera Rejonu Wileńskiego na Litwie odpowiedzialny za szkolnictwo. Był też założycielem i wieloletnim kierownikiem Reprezentacyjnego Polskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Wileńszczyzna”, pomysłodawcą i organizatorem kolejnych festiwali „Kwiaty Polskie” w Niemenczynie oraz wielu innych imprez religijnych i muzycznych, laureatem m.in. nagrody im. Kolberga, posłem na Sejm Republiki Litewskiej kilku kadencji, radnym i wieloletnim wicemerem rejonu wileńskiego - osobą wielu talentów. Ostatni wywiad jaki z Nim przeprowadziłem (lipiec 2016) dotyczył kłopotów i trudności polskiej oświaty na Jago ukochanej Wileńszczyźnie.



dr Jan Gabriel Mincewicz,
zastępca mera Rejonu
Wileńskiego

Wiele się zmieniło.

Zacznijmy więc od oświaty...

Według oficjalnych danych, ostatniego spisu ludności, rejon wileński zamieszkuje ponad 100 tys. mieszkańców. Wśród nich 32% to Litwini i 52% Polacy. 15% przypada na inne narodowości (Rosjanie, Białorusini itd.). Na całej Litwie, również w naszym rejonie, zmniejsza się systematycznie liczba uczniów we wszystkich placówkach szkolnych. Ma to bezpośredni związek ze zmniejszającą się w ogóle liczbą dzieci. Zjawisko to jest związane głównie z emigracją ludności z Litwy za granicę. Dotyczy to w jednakowym stopniu Polaków, jak i Litwinów.

W rejonie wileńskim w roku szkolnym 2013/14 uczyło się łącznie 9.307 uczniów, zaś w 2015/16 - 8.390. Czyli przez ostatnie lata liczba uczniów w samorządowych szkołach rejonu zmniejszyła się prawie o 10%. Zmiany te jednakowo dotyczą szkół polskich i litewskich. Jeżeli zaś chodzi o stosu-

Za co Pan odpowiada w Rejonie Wileńskim?

Za oświatę i kulturę.

Czy zmiany, które zaszły w ostatnich latach na Litwie, miały pozytywny wpływ na w/w dziedziny Waszego społecznego życia? Co się zmieniło w oświacie i kulturze?



Krawczuny, lipiec 2104 - Obchody 70 rocznicy akcji AK „Ostra Brama”. (fot. Leszek Wątróbski)

nek procentowy, to już od prawie 10 lat, odsetek uczniów szkół polskich stanowi około 56% wszystkich uczniów, litewskich zaś - około 40%, a niecałe 4% przypada na szkoły rosyjskie. Liczba szkół rosyjskich po roku 1990 drastycznie się na Litwie zmniejszyła. Duża część Rosjan wyjechała, sporo się asymilowało. W Wilnie jest dziś też jedna szkoła białoruska i jedna żydowska (jedyna w całej republice). W rejonie takich szkół nie mamy.

Z jakimi problemami, w Waszym rejonie, boryka się polska oświata?

Wszystkie nasze problemy staramy się jakoś rozwiązywać. Na oświatę przeznaczamy ponad połowę naszego samorządowego budżetu. Jakkolwiek miejsc w szkołach raczej nie brakuje. Brakuje ich natomiast w przedszkolach. Tak jest na całej Litwie. W czasach sowieckich przedszkola w terenach wiejskich należały do kolchozów. Likwidując kolchozy zlikwidowano też przedszkola. Nie było bowiem komu ich utrzymywać. Wiele też budynków sprywatyzowano, często za bezcen. „Nowe władze” często nie obchodziła przyszłość kraju, ale raczej nabicie własnej kieszeni. W rejonie wileńskim taką politykę realizowano szczególnie starannie w ciągu paroletniego komisarycznego zarządzania - po rozwiązaniu naszego samorządu. Zaraz bowiem po proklamowa-

niu niepodległości Litwy, tutejszy Sejm, kierowany przez V. Landsbergisa, rozwiązał demokratycznie wybrany samorząd rejonu i wprowadził rządy komisaryczne.

W ostatnich latach samorząd wileński, nie tylko wyremontował cały szereg przedszkoli, lecz wybudował 5 nowoczesnych gmachów, w których rozmieszczą się zarówno polskie, jak i litewskie grupy przedszkolaków. W tej liczbie jest też przedszkole w Mickunach, gdzie przez wszystkie lata było tylko rządowe przedszkole posiadające 4 grupy wyłącznie litewskie i ani jednej polskiej, mimo wielokrotnych próśb od mieszkańców narodowości polskiej. Dla Polaków tam „nie było miejsca”. Dla porównania w Wilnie, gdzie także drastycznie brakuje przedszkoli, wybudowano w okresie tych lat, choć jeszcze nie do końca, tylko jedno przedszkole. Szkoły rejonu pomyślnie przechodzą natomiast akredytację do gimnazjów. Na Litwie są to odpowiedniki polskich liceów, których jest już w naszym rejonie 15, a połowa z nich to gimnazja polskie.

Kilka lat temu zaczęła obowiązywać na Litwie nowa ustawa oświatowa...

Kolejnymi restrykcjami dla polskich szkół na Wileńszczyźnie było przyjęcie, jeszcze za rządów



konserwatystów, nowej ustawy o oświacie. Ustawa ta przewidywała szereg dyskryminacyjnych założeń w stosunku do szkół mniejszości narodowych, m. in:

- priorytet dla szkół litewskich w wiejskich miejscowościach poprzez zamykanie polskich, mało liczebnych, placówek oświatowych, litewskich - broń Boże - nie, chociażby uczyło się tam tylko jedno dziecko,
- ujednoczenie egzaminu maturalnego z języka litewskiego dla szkół litewskich i polskich, przy mocno zróżnicowanym programie nauczania w ciągu wszystkich 12 lat, choć w naszych polskich szkołach była znacznie mniejsza liczba godzin na nauczanie języka państwowego niż nauczanie języka ojczystego w szkołach litewskich,
- uporczywe przekształcanie szkół polskich w litewskie drogą przymusowego wprowadzenia wykładania jeszcze kilku przedmiotów szkolnych w języku litewskim.

Jakie decyzje podjęliście Państwo wówczas?

Odebraliśmy to jako krok do przekształcania polskich szkół w litewskie. Takie były przecież plany ustawodawców. Nic więc dziwnego, że się tej ustawie sprzeciwiliśmy. Przewidywaliśmy się jej obywa-

telskim nieposłuszeństwem i nie wprowadziliśmy do naszych szkół nowych lekcji po litewsku. Nadal prowadzimy je po polsku. Zaprotestowali wszyscy nauczyciele i rodzice. Były liczne strajki i pikety. Pisaliśmy też pisma do ministerstwa, sejmu i prezydenta. Wszyscy adresaci naszych protestów okazali się głusi na nasze prośby i nie ustąpili nam. My też nie zrezygnowaliśmy z naszych postulatów i jest, jak było.

A jak wygląda sprawa Waszej kadry nauczycielskiej?

Przy zmniejszającej się nieustannie ilości uczniów żadnych problemów z kadrami nie mamy. Mamy raczej problem z jej zatrudnieniem. Nie brakuje nauczycieli żadnych przedmiotów. Nie ma też problemu z ich zarobkami. Zarabiają tyle samo co kadra litewska. Nie może być przecież inaczej. Podobnie jest z urlopem, który trwa na Litwie dwa miesiące.

Akcja Wyborcza Polaków na Litwie była przez lata członkiem koalicji rządzącej. Co z tego wynikło?

Tak, byliśmy kilka lat w koalicji rządzącej. Byliśmy jednak traktowani przez naszych koalicjantów jak „młodszy brat” i dlatego koalicję opuściliśmy. Koalicja też niestety na wiele nam nie pozwalała, chociaż mieliśmy wice ministrów w oświacie

i kulturze oraz kilku innych. Co jednak może zrobić wiceminister? Wiadomo niestety, że może zrobić jedynie to, co mu każe lub pozwoli minister.

A jak wygląda kultura w Rejonie Wileńskim?

Z kulturą, zarówno w naszym rejonie, jak i na całej Litwie, nigdy nie było dobrze. Pensje pracowników kultury były tu zawsze niskie. Ludzie pracujący w kulturze otrzymywali minimalne pobory, prawie takie same jak zamiatający ulice. Za takie małe pieniądze rzadko daje się zatrudniać specjalistów czy twórców. Tak to było i tak na razie jest. Mimo to uważam, że w naszym regionie nie jest z nią gorzej, niż w innych regionach Litwy, jeżeli nie odwrotnie.

Wizytówką kultury naszego rejonu są niewątpliwie festiwale „Kwiaty Polskie”. Te festiwale organizujemy niezmiennie od 1988 roku. Mieliśmy kilkuletnią przerwę z powodu braku finansów, kiedy strona polska przerwała ich dofinansowanie. Obecnie, od roku 2012, kiedy to wznowiliśmy je dzięki pomocy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, znowu kipi życie artystyczne na festiwalach oraz w okresie żmudnych przygotowań do nich.

Uznaliśmy też, że na organizowanie festiwalu co roku nas nie stać, więc imprezę organizować będziemy teraz co dwa lata. Mamy również zamiar budowy nowego amfiteatru festiwalowego. Ostatnie święto obchodziliśmy szczególnie uroczysto. Była to bowiem 28 rocznica jego powstania. Podczas tej edycji Festiwalu „Kwiaty Polskie” wystąpiło około kilkadziesiąt zespołów artystycznych z Wilna, Wileńszczyzny i Kowna.

A co z domami kultury?

Zacznijmy od tego, że w okresie sowieckim było w rejonie wiele doskonałych domów kultury. Takie placówki kultury z prawdziwego zdarzenia były w Niemenczynie, Mejszagole, Mickunach oraz w wielu innych miejscowościach. A ponieważ ich utrzymanie kosztowało, więc podobnie jak i przedszkola, były finansowane przez kołchozy i sowchozy. I spotkał je ten sam los, co i przedszkola. Wiele budynków sprywatyzowano. Służą dziś biznesowi, a kultura wyciąga rękę o pomoc. Tej pomocy nie szczędzi, w miarę posiadanych możliwości, nasz samorząd rejonowy. Nie tylko remontuje istniejące placówki, lecz także buduje nowe. Nowoczesne placówki kultury powstały już w Bujwidzach, Ławaryszkach i Mickunach. Zmodernizowano największy rejonowy dom kultury w Niemenczynie i w innych osiedlach. W planie jest budowa nowego domu kultury w Mejszagole. Tam, na razie, funkcję domu kultury spełnia historyczny zabytkowy

pałacyk. Warto byłoby tam otworzyć samodzielną szkołę muzyczną.

Poza pracą w samorządzie wileńskim jest Pan także zaangażowany w działalność Reprezentacyjnego Polskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Wileńszczyzna”. Zespół ten to przecież Pańskie dziecko...

Reprezentacyjny Polski Zespół Pieśni i Tańca „Wileńszczyzna” założony został jesienią 1980 roku, a pierwszy jego występ odbył się w maju 1981 roku, co uważane jest dziś za dzień jego narodzin. To był koncert zorganizowany z okazji 3 maja, choć o tym głośno wówczas nie mówiliśmy, bo wtenczas nie można było na Litwie sowieckiej tego święta obchodzić. Obecnie już mamy za sobą jubileusz 30-lecia. Jubileuszowe imprezy już tradycyjnie odbywają się w Narodowym Teatrze Opery i Baletu w Wilnie.

Od tego czasu wiele się wydarzyło. Byliśmy dwukrotnie w Australii, od Adelajdy aż po Brisbane, oraz dwukrotnie w USA. Wielokrotnie koncertowaliśmy po całej Europie. Byliśmy z „Wileńszczyzną” w Brazylii na Światowym Dniu Młodzieży z papieżem Franciszkiem. Spędziliśmy w Ameryce Południowej prawie półtora miesiąca. Występowaliśmy w Sao Paulo, Rio de Janeiro, Kurytybie w Brazylii; Montevideo - w Urugwaju i Buenos Aires w Argentynie. Byliśmy tam serdecznie przyjmowani przez miejscowe organizacje polonijne. W Kurytybie zwiedziliśmy m.in. skansen Jana Pawła II pieczołowicie prowadzony przez byłą wilniankę Danutę Lisicką de Abreu. Obecnie wybieramy się na międzynarodowy festiwal do Polski.

A co z Polskością na Wileńszczyźnie? Czy będzie ona trwała nadal, czy będzie zanikać?

Będzie się nadal rozwijać. Jestem optymistą i naszą przyszłość na Wileńszczyźnie widzę podobnie. Nie może być inaczej. Polepszają się także nasze wyniki wyborcze. Przez wszystkie minione lata, jako Polacy, nie mogliśmy przekroczyć 5% progu wyborczego. W ostatnich wyborach nam się to udało. Dawniej miejsca w parlamencie zdobywaliśmy wyłącznie w okręgach jednomandatowych. Były to 2, maksimum 3 mandaty. Dzisiaj mamy 8 miejsc w litewskim parlamencie i tyleż wiceministrów w rządzie. Mamy wreszcie, drugą z kolei kadencję, naszego polskiego europosła Waldemara Tomaszewskiego. Nasz autorytet i prestiż nieustannie się zwiększa. Kultura polska na Wileńszczyźnie osiągnęła wcześniej niespotykany poziom.

Dziękuję za rozmowę.

UNIA POLSKO-LITEWSKA - REAKTYWACJA

PRACA NAGRODZONA W VIII EDYCJI KONKURSU
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY POLONIJNEJ „BYĆ
POLAKIEM”

Moi rodzice wyemigrowali z różnych stron Polski do USA jako nastolatki. Tutaj się poznali i założyli rodzinę. I tak na świat przyszedłem ja i trzech moich braci. Mimo tego, że urodziłem się w Stanach Zjednoczonych, czuję się Polakiem „z krwi i kości” i muszę wyznać, że jestem z tego dumny. Moją świadomość kim jestem zawdzięczam przede wszystkim rodzicom i polskiej szkole. Rodzice nigdy nie pozwolili byśmy złamali zasadę: „w naszym domu mówimy po polsku”. Do dziś słyszę słowa mamy: „Mów po polsku! Czytałeś polską książkę?” i radę taty: „Nie zapomnij, że jesteś Polakiem!”.

Dzisiaj nie muszą już nam tego powtarzać. Z wielką radością uczęszczam do Polskiej Sobotniej Szkoły. Pamiętam jak nie mogłem doczekać się lekcji historii, które rozpoczynają się w piątej klasie. Byłem pewny, że ten przedmiot pokocham. To zasługi mego taty, który rozbudzał w nas od dzieciństwa zainteresowanie historią Polski. Nie myliłem się. Na tych zajęciach wprost połykam wiedzę i myślę już czasami, czy nie związę swej przyszłości z tą dziedziną.

Historia, którą pragnę Państwu opowiedzieć ma ścisły związek z lekcją tego przedmiotu i wydarzyła się dwa lata temu, gdy byłem uczniem klasy VI. Pewnego słonecznego poranka wybraliśmy się z naszą panią Anią na wycieczkę do Central Parku. Mieliśmy udać się pod pomnik króla Jagiełły, gdyż okazało się, że żaden uczeń naszej klasy nigdy jeszcze go nie widział. Tu, na łonie natury mieliśmy utrwalić naszą wiedzę o czasach Jagiełły i poznać niezwykłą historię jego pomnika. Wszyscy podekscytowani wsiedliśmy do metra. Kiedy dotarliśmy na miejsce spotkało nas wielkie rozczarowanie. Akurat tego

dnia w Central Parku był koncert jakiejś sławnej piosenkarki i dojście do pomnika było zablokowane. Próbowaliśmy wejść z każdej możliwej strony, niestety bez skutków. Lekcja historii odbyła się w parku, ale z dala od pomnika. Pani Ania przygotowała nam ciekawe karty pracy i tak pięknie opowiadała o niezwykłych losach pomnika Jagiełły, że aż ciarki przechodziły mi po plecach.

Opowieść pani i zdjęcia pomnika na kartach rozbudziły moją ciekawość do tego stopnia, że całą powrotną drogę do domu błagałem tatę, by nazajutrz wybrać się pod pomnik. Tata zgodził się chętnie i w niedzielne popołudnie wróciliśmy do Central Parku, by złożyć wizytę królowi Jagielle. Tym razem chciałem wystąpić przed królem jako dzielny rycerz, który pokona dla niego wszystkie przeszkody. Ubrałem się w strój rycerski jak przystało na wizytę u króla. Wziąłem ze sobą dwa miecze i tarczę. To na wszelki wypadek gdybym musiał walczyć o przetarcie drogi do władcy. Dumny maszerowałem alejkami parku, za mną szedł tata i młodszy brat Julian. Kiedy już dotarliśmy na miejsce, stanąłem jak wryty z opadniętą szczęką ze zdumienia. Pomnik był wspaniały!!! Tą podniosłą dla mnie chwilę zepsuł mały brat. Musiał iść do toalety. Uprosiłem tatę, by poszli beze mnie. Obiecałem, że nie oddalę się z tego miejsca.

Gdy zostałem sam, stanąłem twarzą w twarz z królem. Czułem gorąco, radość, zadowolenie i dumę. Zacząłem z nim rozmawiać. Opowiedziałem królowi co wiem o jego panowaniu, o pokonaniu Zakonu Krzyżackiego, mówiłem jakie wielkie wrażenie wywarła na mnie scena z filmu: „Krzyżacy”. Uniosłem wtedy swoje miecze do góry i nagle



usłyszałem za plecami ściszone głosy. Dużo głosów!!! Powoli odwróciłem się i ujrzałem wpatrującą się we mnie grupę ludzi. Zaciekawieni zaczęli dopytywać co robię, skąd jestem i co to za pomnik. Wy tłumaczyłem zgromadzonym, że jestem Amerykaninem polskiego pochodzenia. Opowiedziałem kogo przedstawia pomnik i nie mogłem uwierzyć, że koreańska grupa nie wiedziała nawet, że w Polsce byli królowie. Szybko z wielką dumą zacząłem opowiadać o dynastii Piastów i Jagiellonów. Błyszcząc wiedzą zdobytą na lekcjach historii. Opowiedziałem jak litewski książę Jagiełło został królem Polski, jak pokonał Zakon Krzyżacki i jak to pomnik króla Władysława Jagiełły został przewieziony do Nowego Jorku na światową wystawę EXPO w 1939 roku i jak wybuch II Wojny Światowej spowodował, że pomnik nigdy już nie wrócił do Polski, a po zakończeniu wojny został podarowany miastu Nowy Jork i ustawiony w Central Parku. Dodałem też, że w ten sposób wyprawa króla zamieniła się w emigrację, tak jak losy wielu Polaków i ludzi innych narodowości, którzy zamieszkują Stany Zjednoczone Ameryki.

„To król nas wszystkich” - zakończyłem i wtedy zauważyłem swego tatę, który z wielką dumą wpatrywał się w swego syna. Ludzie zaczęli bić mi brawo i prosili o zdjęcie ze mną przed pomnikiem władcy. Do mego taty podszedł w tym czasie pewien Pan z chłopcem. Zaczęli rozmawiać, a ja gdy grupa ludzi rozeszła się, zaprosiłem chłopca do zabawy w rycerzy. Nasi ojcowie najwyraźniej mieli wiele wspólnych tematów, bo nagle zaproponowali nam przejście do kawiarni na lody. Tam dowiedziałem się, że rodzice tego pana pochodzą z Litwy. On urodził się w Ameryce i bardzo mało wie o kraju

przodków. Przyznał wprost, że zawstydzilem go swoją wiedzą i pasją jaką widział na mej twarzy. Był bardzo zainteresowany tematem unii polsko litewskiej. Mój tata miłośnik historii obiecał mu podesłać ciekawe materiały historyczne i panowie wymienili się numerami telefonów.

Z czasem nasze rodziny zaczęły się spotykać. Panowie mają wiele wspólnych tematów, a nasze mamy odkrywają przed nami uroki kuchni podlaskiej i litewskiej. Jak się okazuje bardzo, bardzo podobnej. Moja znajomość z Seanem przerodziła się w przyjaźń. Ja zainteresowałem go tematyką rycerską, a on mnie piłką nożną. Często snujemy plany, że w przyszłości założymy w Nowym Jorku bractwo rycerskie i odegramy pod pomnikiem naszego króla sceny z bitwy pod Grunwaldem. Nasi rodzice śmieją się czasem, że to spotkanie pod pomnikiem króla Władysława Jagiełły było reaktywacją unii polsko litewskiej, którą zaplanował król z za grobu.

Gdy wracam myślami do tej niezwyklej lekcji historii w Central Parku, która spowodowała serię kolejnych wydarzeń myślę, że doskonale poradziłem sobie z rolą „ambasadora polskości”. Moja tożsamość narodowa pozwoliła uświadomić wielu ludziom, że warto znać swoje korzenie. Wielokulturowość nie jest przeszkodą. Jest darem, który pozwala wierzyć, że przed nami jeszcze wiele niezwykłych historii. Ten dar jest moim talizmanem, a zawdzięczam go swoim rodzicom emigrantom i pani z polskiej szkoły, która też wyemigrowała z Polski do USA.

Gabriel Starzec

GALA BYĆ POLAKIEM



1. Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego
 2. Laureaci konkursu
 3. Laureaci konkursu
 4. Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego
 5. Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego
 6. W Gali konkursu uczestniczyła p. Prezydentowa Karolina Kaczorowska (pierwsza z lewej)

(fot. Roman Śmigielski)





Lignum Crucis - fragment ramienia krzyża, na którym rzekomo ukrzyżowano Jezusa Chrystusa w klasztorze St. Toribio de Liebana w Cantabрії.

Rok 2017 jest rokiem jubileuszowym, tzn. że dzień św. Toribia przypada na niedzielę. Pielgrzymując do Wrót Przebaczenia można tego roku uzyskać odpust zupełny.



CAMINO LEBANIEGO - SZLAKIEM PIELGRZYMIM W HISZPANII

zdjęcia Patrycja Skłodowska





NAGRODY EUROPEJSKIEJ POLONII POLONICUS 2017

Lech Wałęsa, pierwszy przewodniczący NSZZ „Solidarność”, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, były Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, odebrał w sobotę 6 maja w Akwizgranie przyznaną mu przez europejską Polonię honorową nagrodę Polonicus za całokształt swojej działalności oraz za zaangażowanie na rzecz wzmacniania jedności europejskiej. Uroczystość wręczenia statuetek odbyła się już po raz dziewiąty podczas Gali Polonii w sali koronacyjnej Karola Wielkiego.

Ponadto Nagrodę Polonicus otrzymali:

Agnieszka Holland - światowej sławy polska reżyserka i scenarzystka filmowa, laureatka Srebrnego Lwa na Berlinale 2017, za jej znaczący wkład w światowy rozwój sztuki filmowej.

Werner Jostmeier MdL - przewodniczący grupy parlamentarnej NRW-Polska w parlamencie Nadrenii Północnej-Westfalii, za zaangażowanie w dialog niemiecko-polski.

Aldona Głowacka-Silberner, przewodnicząca Biura Łączności Organizacji Polonijnych w Hanowerze i w Dolnej Saksonii, za jej wieloletnie zaangażowanie dla Polonii w Niemczech.

Lech Wałęsa zaapelował do społeczności niemieckiej by jako najsilniejsze państwo wzięła na siebie odpowiedzialność za losy Europy i wyzbyła się wreszcie kompleksów. W imieniu Agnieszki Holland Nagrodę Polonicus 2017 odebrała córka Katarzyna i przekazała video-listem przesłanie artystki. Werner Jostmeier odbierając nagrodę Polonicus zobowiązał się jeszcze bardziej angażować w dialog europejski. Natomiast wyróżniona Polonicusem Aldona

Głowacka-Silberner podkreśliła istotną rolę organizacji polonijnych na rzecz utrzymania polskości w nowej ojczyźnie z wyboru.

„Wyrażając wspólną opinię podkreślam, że Polacy mieszkający w Europie chcą Polski rozważnej, roztropnej, kierującej się prawem wzmacniającym demokrację w ramach Unii Europejskiej.” - powiedział szef jury nagrody Polonicus Wiesław Lewicki.

Nagrody Polonicus przyznawane są od 2009 roku. Dotychczas to wyróżnienie otrzymało 36 osób z Polski, Niemiec i innych krajów, w których mieszkają Polacy. Do laureatów z lat ubiegłych należą m. in. arcybiskup senior Opola Alfons Nossol, językoznawcy prof. Jan Miodek i prof. Władysław Miodunka (UJ) oraz reżyser Andrzej Wajda, pierwsza dama polskiej sceny Krystyna Janda, tłumacz literatury Karl Dedeciusz, znawca historii Europy Norman Davies, była rektor Uniwersytetu Viadrina prof. Gesine Schwan, ekonomista prof. Leszek Balcerowicz, były Przewodniczący Parlamentu Europejskiego prof. Jerzy Buzek, ks. Rektor Stanisław Budyń, prof. Piotr Małozzewski z Chrześcijańskiego Centrum w Niemczech, a także działaczka polskiej mniejszości na Białorusi Andżelika Borys, TV-Polonia i Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”.

Leżący na styku granic Niemiec, Holandii i Belgii Akwizgran (Aachen) był na przełomie 8. i 9. stulecia siedzibą cesarza Karola Wielkiego. Władca Franków, uznawany do dziś za symbol europejskiej jedności, stworzył w Europie Zachodniej państwo nawiązujące do starożytnego imperium rzymskiego.



1. Gala - Laureaci Polonicusa 2017
2. Redaktor Informatora Polskiego Roman Śmigiełski z Lechem Wałęsą
3. W imieniu Agnieszki Holland nagrodę Polonicus 2017 odebrała córka Katarzyna Adamik
4. Przemawia Lech Wałęsa



NOWE WŁADZE RADY POLONII ŚWIATA

1 maja 2017 roku w Domu Polonii w Pułtusku odbył się kolejny Walny Zjazd organizacji członkowskich Rady Polonii Świata, na którym wybrano nowe władze. Przewodniczącą RPŚ została wybrana Teresa Berezowski z Kanady.



Przewodnicząca RPŚ Teresa
Berezowski z Kanady

Jedną z inicjatyw zgłoszonych przez delegatów podczas IV Światowego Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy w 2012 roku było reaktywowanie Rady Polonii Świata, której działalność została zawieszona w roku 2007. Zjazd reaktywujący Radę Polonii Świata odbył się w dniach 9-10 listopada 2013 w Domu Polonii w Pułtusku z udziałem 65 delegatów z 32 krajów.

RPŚ jest porozumieniem organizacji polonijnych na świecie, zjednoczonych w swoich celach i zadaniach, wynikających z szeroko rozumianego interesu Narodu Polskiego. Jej cele obejmują:

- koordynację współpracy organizacji członkowskich Rady oraz integrację środowisk Polonii i Polaków na całym świecie, a także pomoc mniejszym skupiskom polonijnym,
- propagowanie i obronę dobrego imienia Polski i Polaków,
- występowanie w imieniu zrzeszonej Polonii i reprezentacja wobec władz RP,
- promowanie spraw polskich i polonijnych na arenie międzynarodowej,
- promowanie spraw polskich mniejszości narodowych i obrona ich interesów,
- zachowanie polskiego dziedzictwa i kultury,
- promowanie i zachowanie języka polskiego w krajach osiedlenia.

W dniach 1-2 maja 2017 roku w Domu Polonii w Pułtusku odbył się kolejny Walny Zjazd organizacji członkowskich, na którym wybrano nowe władze. Przewodniczącą RPŚ została wybrana Teresa Berezowski z Kanady. Teresa Berezowski przez wiele lat była przewodniczącą Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz przewodniczącą Zarządu Okręgu

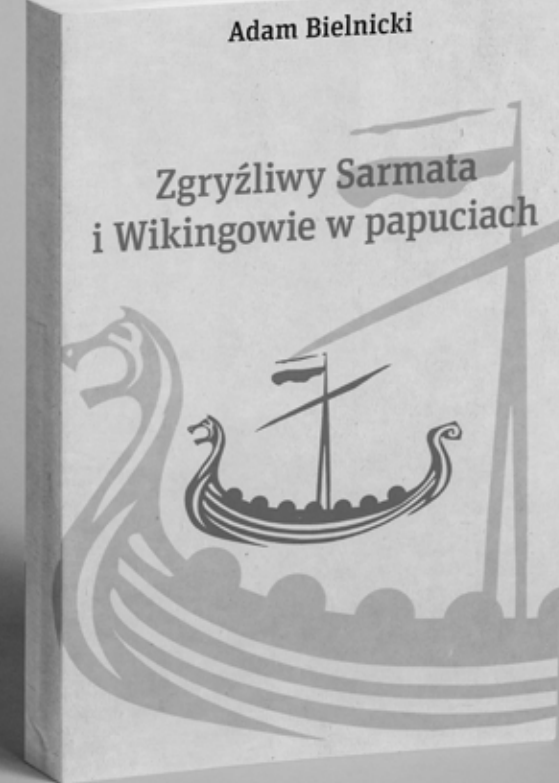
Kanada Związku Harcerstwa Polskiego działającego poza granicami kraju.

Wiceprzewodniczącymi zostali Helena Miziniak z Wielkiej Brytanii oraz Waldemar Tomaszewski z Litwy. Sekretarzem został Tadeusz Adam Pilat ze Szwecji, a Skarbnikiem Aleksander Zajac z Niemiec. W Prezydium Rady zasiadają również przedstawiciele następujących organizacji krajowych:

- Bożena Kamiński - Kongres Polonii Amerykańskiej, USA,
- Marek Domaradzki - Kongres Polonii Kanadyjskiej,
- Leszek Wikarjusz - Rada Naczelna Polonii Australijskiej,
- Czesław Maryszczak - przedstawiciel Światowej Federacji Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

Na przewodniczącą Komisji Rewizyjnej wybrano Romana Śmigielskiego z Danii, członkami Komisji są poza tym Henryk Roztoczyński i Anna Sokołowski z USA. Teresa Sygnarek ze Szwecji w dalszym ciągu będzie przewodniczyć Komisji Statutowej. Jednocześnie będzie koordynatorem Komisji ds. Medialnych. Szczególne miejsce, zwłaszcza w obecnej sytuacji politycznej na świecie, zajmuje zagadnienie: propagowanie i obrona dobrego imienia Polski i Polaków. Ta szczególna rola Polonii w tym zakresie wynika z możliwości oddziaływania i obrony interesów Polski i Polaków poprzez kontakty i pozycje w krajach osiedlenia. Postanowiono więc kontynuować prace międzyzjazdowej Komisji Obrony Dobrego Imienia Polski i Polaków oraz wybrano prof. Grzegorza Kaczyńskiego z Włoch na koordynatora komisji.

O SARMATACH I WIKINGACH



Jan Długosz twierdził, że protoplastami Polaków byli starożytni Sarmaci. Według legendy w zamierzchłych czasach rycerskie plemię Sarmatów opuściło stepy czarnomorskie, opanowując tereny, na których z czasem powstać miała Rzeczpospolita Obojga Narodów. Zagarnawszy te ziemie rycerze sarmaccy ludność autochtoniczną obrócili w niewolników, zwanych teraz plebejami, a sami przekształcili się w szlachtę. Tylko szlachta jest wyłącznym potomkiem Sarmatów, ona jest „narodem”, do którego należeć powinno wyłączne kierownictwo w państwie. Sarmatyzm już w samym założeniu zawierał tendencje separatystyczne, odśrodkowe w stosunku do kultury ogólnoeuropejskiej, której wspólnym mianownikiem był humanizm. I to naszym Sarmatom do dziś zostało.

Wikingowie, skandynawscy wojownicy, z kolei od VIII wieku podejmowali dalekie wyprawy o charakterze kupieckim, rabunkowym lub osadniczym. Pierwszy odnotowany napad wikingów miał miejsce w roku 793 na wybrzeżach Anglii. Początkowo ich wyprawy nie wychodziły poza obręb Morza Północnego i wysp szkockich. Około roku 800 po raz pierwszy wylądowali na Wyspach Owczych, które szybko zostały przez nich skolonizowane. W roku 874 dotarli również do Islandii. Kolejny wiek przyniósł odkrycie Grenlandii (ok. 982) i Ameryki, gdzie również założyli swoje osady. Jednak walki z tubylcami i kłótnie wewnętrzne rychło spowodowały porzucenie osad w Nowym Świecie.

Studiami porównawczymi dzisiejszych Sarmatów i Wikingów zajął się magister nauk historycznych

Uniwersytetu Jagiellońskiego p. Adam Bielnicki. Po 30 latach spędzonych w Polsce i półwiecznym pobycie w Danii Pan Bielnicki wydaje się być osobą jak najbardziej do tego przygotowaną i uprawnioną. Rezultat tych badań wydano ostatnio drukiem w Krakowie pod wymownym tytułem „Zgryźliwy Sarmata i Wikingowie w papuciach”. Czytelnik „Informatora Polskiego” trzymając w ręku tę książkę, wydaną w solidnej twardej okładce, dozna z pewnością déjà vu, zastanawiając się, czy to już gdzieś kiedyś widział i gdzieś kiedyś czytał?

Autor już we wstępie daje odpowiedź na powyższe pytanie: „Ponieważ zasoby wyrozumiałości Redaktora oraz cierpliwości czytelników okazały się wystarczające trwałe, „Adam be” od lat blisko trzydziestu na gościnnych łamach „Informatora” mógł... „śmieszyć, tumanić przestraszać”.

A więc wszystko jest jasne - na ponad 160 stronach znajdą Państwo zbiór felietonów Adama be, które w rubryce zatytułowanej „szarganie poprawności” ukazują się na naszych łamach od blisko trzydziestu lat.

A wynik studiów porównawczych? Moim zdaniem - 27:1 dla Sarmatów, ale to tylko moje zdanie.

Roman Śmigielski

(Adam Bielnicki „Zgryźliwy Sarmata i Wikingowie w papuciach”

Wydawca: Inter Line SC, Kraków 2017 r.)

REANIMACJA I ŚMIECH W KOPENHASKIEJ OPERZE

Zakończenie sezonu 2016-17 zaowocowało dwoma wybitnymi przedstawieniami. Jedno z nich zasługuje na najwyższe pochwały, drugiemu natomiast należy się nagroda „wydziwiania i zblazowania”. Niemniej i to ostatnie było w pewnym sensie wybitne. Tym pierwszym przedstawieniem była Podróż do Reims Rossiniego, tym drugim Opowieści Hoffmanna Offenbacha.

Historia opery Rossiniego jest zaprawdę jak z bajki - Rossini napisał operę w roku 1825 na zamówienie Opery paryskiej, a jej treścią miała być koronacja Karola X w Reims. Przedstawienie było absolutnym sukcesem, nie oszczędzano środków finansowych, w premierze wzięli udział najwybitniejsi śpiewacy tego czasu, w sumie jest tu 18 wirtuozowskich partii solowych, a do tego wiele scen zespołowych. Zagrano operę 3 razy, po czym Rossini zniszczył partyturę, by nigdy już nie było możliwości zagrania tego dzieła - miało pozostać czymś wyjątkowym, niepowtarzalnym.

No, ale Rossini zawsze „przerabiał” swoją muzykę w inne wersje - z innym tekstem ta i owa aria pojawiły się w jego późniejszych operach. W latach 70. ubiegłego wieku dwoje amerykańskich muzykologów, Janet Johnson i Philip Grossett, postanowi-

ło „reanimować” Podróż do Reims. Przejrzeli inne opery Rossiniego, porównali z jakimiś ocalonymi kopiami w teatrach operowych, poszperali w bibliotekach. Po wielu latach trudów w roku 1984 opera odżyła na nowo zaprezentowana na festiwalu Rossiniego w Pessaro pod dyrekcją Claudio Abbado i rozpoczęła swe triumfy na operowych scenach świata, zyskując ogromną popularność. Jest to jednakże bardzo wymagające dzieło - głównie dlatego, że nie ma tu właściwie żadnej akcji. W hotelu przydrożnym na trasie Paryż-Reims zatrzymują się goście jadący na koronację. Dalsza jazda jest z jakiegoś powodu niemożliwa i goście wypełniają sobie czas rozrywką i zabawą. Poza tym opera wymaga, jak już wspomniałam, wielkiej ilości wybitnych solistów, jeden teatr operowy nie ma aż tylu w swoim sztabie, konieczne jest „dokupienie” wielu głosów, co czyni przedstawienie bardzo kosztownym.

W Kopenhadze grano już raz Podróż do Reims. Było to w roku 2001, w reżyserii Davida Radoka. Teraz, w roku 2017, na nowej, wielkiej scenie Opery pokazano zupełnie fenomenalne przedstawienie (kooperacja z operą w Amsterdamie) w reżyserii Damiano Michieletto i scenografii Paolo Fantiniego. Pierwsza połowa rozgrywa się nie w hotelu,

a w galerii sztuki, gdzie nocą dzieją się przedziwne rzeczy. Postacie ze znanych obrazów wychodzą z malowideł i włączają się w akcję przedstawienia, tworząc prześmieszne tableaux, na tle którego soliści prezentują swoje ekwilibrystyczne wyczyny śpiewacze. W drugiej części „akcja” dzieje się w obrębie wielkich złotych ram jakiegoś obrazu. Na końcu opery, podczas gdy jedna z solistek śpiewa piękną, acz przydługą arię, wszystkie postaci biorące udział w przedstawieniu (+ chór i statyści) w bardzo powolnym tempie zaludniają obraz i - ustawiając się we właściwych miejscach - tworzą kopię obrazu Francois Gérarda „Koronacja Karola X w Reims”.

Przedstawienie było fascynujące wizualnie i imponujące muzycznie. Na dodatek publiczność bawiła się doskonale, a na widowni przeważali ludzie młodzi, zwykle nieobecni na przedstawieniach operowych.

Również na drugim wspomnianym przedstawieniu publiczność wybuchała śmiechem - śmiech ten był niestety nie zawsze wkalkulowany w akcję. Przedstawienie było na tyle absurdalne, że aż - niezamierzenie - śmieszne. Opowieści Hoffmanna to romantyczna opera francuska stworzona przez mistrza operetek, Jacques'a Offenbacha (1819-1890), wystawiona po raz pierwszy w roku 1891, a więc po śmierci kompozytora, który dzieła nie



Podróż do Reims Rossiniego

Opowieści Hoffmanna Offenbacha



ukończył. Fakt ten zdał się zostać wystarczającym pretekstem do tego, by operę wystawić w zmienionej formie. No bo skoro właściwie nie wiadomo, jak to się wszystko miało zakończyć, to można sobie pozwolić na poprzestawianie fragmentów i na nową interpretację dzieła. Kompozytor zakłada, że trzy główne role kobiece śpiewane są przez jedną i tą samą solistkę, co jest prawie niemożliwe, jako że jest to raz sopran koloraturowy, raz dramatyczny, a raz mezzosopran. Norweg Stefan Herheim (którego jedni kochają, a drudzy nie znoszą) obsadził rolę różnymi solistkami, a nawet jednym męskim statystą, co z kolei pasowało do całej koncepcji opery, gdzie kwestia tożsamości płciowej wydaje się być głównym wątkiem przedstawienia. Rozliczni są tu panowie ubrani w stroje kobiece, negliż z końca XIX wieku, chórzyci są często w damskich kostiumach, chórzystki w męskich, powabne panie występują w podwiązkiach i buciorach, a panowie są ubrani wszyscy tak samo.

Figura Hoffmanna zostaje tutaj pomnożona w nieskończoność - w końcu nie bardzo wiadomo, kto jest kto. Po scenie płacze się też sobowtór samego kompozytora, Offenbacha, biorącego również udział w akcji. Na scenie dzieje się bardzo dużo. Dekoracje są doprawdy imponujące, a scena wykorzystana w całej swej wysokości (ogromne schody w różnych wydaniach) i głębi. Wszystko to jest bardzo imponujące, nawet godne podziwu, niestety, w nadmiarze efektów gubi się piękno i czar opery, muzyka po prostu „nie pasuje” do przedstawianej akcji.

Kopenhaska Opera nie dysponuje solistami pasującymi do lirycznego śpiewu po francusku,

większość śpiewaków, z wyjątkiem trojga (dwie panie: Gisela Stille - sopran, i Elisabeth Jansson - mezzosopran, oraz Jens Christina Tvilum - tenor) była importowana: Węgier Zoltán Nyári w roli Hoffmanna, Niemka Sophia Brommer, sopran koloraturowy, w roli Olympii, Gidon Saks, bas-baryton z Południowej Afryki w kilku rolach i bas Taras Shtonda z Ukrainy jako Crespel. Wszyscy śpiewali znakomicie, tak jak i chór, który bardzo się musiał „zwijać” by zdążyć z przebieraniem pomiędzy scenami (a było tych zmian kostiumów aż 16). Było to imponujące, acz zdecydowanie brzydkie przedstawienie. Czego wszyscy się spodziewali, jako że Stefan Herheim nie jeden raz już tutaj się produkował.

Koniec sezonu odznaczył się też faktem, że dotychczasowy szef Opery, Sven Müller, zrezygnował przed czasem ze swego stanowiska, oddając berło w ręce Brytyjczyka, Johna Fulljamesa, co przez duńskich krytyków zostało bardzo pozytywnie przyjęte. Nowy szef nie miał jednakowoż wpływu na opublikowany repertuar na przyszły sezon. Oprócz klasyków, zaprezentowana zostanie opera dla dzieci Svitlany Azorowej Momo i złodzieje czasu (premiera w październiku 2017), nie grana dotychczas w Kopenhadze Dziewczyna z Dzikiego Zachodu Pucciniego (listopad 2017), romantyczna opera duńska, Lulu Friedricha Kuhlaua (styczeń 2018) oraz The Exterminating Angel Thomasa Adès (marzec 2018).

Eva Maria Jensen

Redakcja „Informatora Polskiego” składa

p. Evie Marii Jensen

wyrazy szczerzego współczucia i żalu

z powodu śmierci mamy

p. Urszuli Kołtowskiej.



JOHANNES BUGENHAGENS POMMERN-HISTORIE

I 1517 blev den senere lutherske reformator Johannes Bugenhagen af den pommerske fyrste Bogislaw X sat til at finde kilder til Pommerns historie, og det endte med, at han på grundlag af, hvad han havde fundet, skrev den første samlede Pommerns historie, der under titlen “Pomerania” forelå som færdigt latinsk håndskrift i 1518.

Wolin i fortid og nutid

Denne artikel handler om Johannes Bugenhagens skrift „Pomerania” fra 1518, den første sammenhængende Pommerns historie. Men der er en særlig polsk-dansk forhistorie og en særlig polsk-dansk aktualitet, nemlig henholdsvis det særlige forhold mellem Danmark og Ærkebispedømmet Szczecin-Kamień, der begyndte i 2011 med den fælles Harald Blåtand-dag i Roskilde, hvor Harald blev begravet efter (formodentlig) at være død i Wolin, og den fælles polsk-danske, katolsk-lutherske markering af 500-året for Luthers teser om afladen i dagene omkring Bugenhagens fødselsdag den 24. juni 2017 - i og omkring Bugenhagens fødeby Wolin.

Som led i mine forberedelser til sidstnævnte begivenhed (som jeg på grund af indtrufne private omstændigheder ikke selv kom til at deltage i) købte og læste jeg den danske kirkehistorieprofessor emeritus Martin Schwarz Laustens bog *Johann Bugenhagen - Luthersk reformator i Tyskland og i Danmark* (2011), hvor jeg så en omtale af Johannes Bugenhagens skrift „Pomerania”, som jeg straks købte den nye 2008-udgave af, hvor hele teksten er oversat til tysk, men side for side står sammen med en fotografisk gengivelse af det oprindelige latinske håndskrift (Norbert Buske (udg.): *Johannes Bugenhagen, Pomerania. Erste Gesamtdarstellung der Geschichte Pommerns. Faksimiledruck und Übersetzung der Handschrift von 1517/18*). Denne udgave er på tilsammen 273 sider, hvilket altså vil sige, at Bugenhagens håndskrift svarer til noget i retning af 137 almindelige bogsider. Alle oversættelser her i artiklen er foretaget af undertegnede, og ting i firkantet parentes er indsat af mig.

Hvordan Bugenhagen kom til at skrive Pommerns historie

I forsommeren 1517 satte den pommerske fyrste Bogislaw X den katolske præst og skoleleder Johannes Bugenhagen (1485-1558) til at gennemse alle arkiver i de pommerske biblioteker, klostre og byer for at finde historisk materiale. Anledningen var en henvendelse fra den saksiske kurfyrste Friedrich der Weise, der ville have undersøgt, om der i Pommern lå ting, der havde betydning for Sachsens historie. Men fyrst Bogislaw udvidede opgaven, så den kom til at gælde alt historisk materiale i de pommerske arkiver. Det lå i tiden, at fyrsterne ville have deres områders historie frem.

Bugenhagen brugte med fyrst Bogislaws tilladelse det materiale, han havde fundet, til en fremstilling af Pommerns historie fra de ældste tider af og frem til nutiden, og fyrst Bogislaw fik allerede i maj 1518 overdraget det færdige værk, som indledes med et forord til såvel Bogislaw selv som hans tre sønner Georg, Kasimir og Barnim. De tituleres (som de også gang på gang omtales i selve skriftet) „hertuger af Stettin, Pommern, Kasjubien og Slaverne, fyrster af Rügen”.

„Pomerania” som nationalt identitetskrift

„Pomerania” er inddelt i fire dele eller „bøger”: 1. Pommerns ældste tid. - 2. Pommerns omvendelse til den kristne tro. - 3. Om pommeranernes højvelbårne fyrster. - 4. Hvad der ellers er sket i Pommern. Men det siger sig selv, at jeg må nøjes med at give en overordnet karakteristik af teksten og faktisk udelukkende beskæftige mig med første bog.

Bugenhagens „Pomerania” er et eksempel på, hvad der betegnes som „humanistiske landebeskrivelser”, og Bugenhagen tjener sin fyrste og sit fyrstehus godt; han betoner gang på gang og med alle mulige - og „umulige” - eksempler og henvisninger Pommerns både politiske og kirkelige enhed og uafhængighed, og han fremhæver såvel landets som fyrstehusets slaviske baggrund.

Bugenhagens fremstilling er meget kompliceret og ikke særlig velordnet, men det hele bliver endnu mere kompliceret, når man begynder at prøve at sammenholde hans oplysninger med oplysningerne i nyere og mere nøjagtige fremstillinger af Pommerns historie - som også i sig selv er overordentlig kompliceret!

En folkelig nationalisme, som vi kender den fra 1800-tallet, er der ikke tale om. Og Pommern omkring år 1500 var en multietnisk stat. Man kunne så forestille sig, at Bugenhagen ville have fremhævet det *tyske* element, som jo nu dominerede. Men det gør han ikke. Han taler pænt om den oprindelige slaviske befolkning, og han taler om „mine pommeranere” (fx s. 26), og siger gennemgående „os”, „vort” og „vore” om hele Pommern og alle dets indbyggere.

Bugenhagen og det slaviske

Jeg ville gerne have fundet noget, der tydede på, at Johannes Bugenhagen selv havde en slavisk baggrund. Men det har jeg ikke. Men selv om det fremgår, at der nu ikke er mange slavisktalende tilbage i Pommern, må Bugenhagen have hørt slavisk blive talt og dermed også have haft en eller anden grad af kendskab til det.

I slutningen af det afsnit i 1. bog, der har overskriften „Pommeranerne blev engang kaldt slavere”, skriver Bugenhagen:

[De slaviske pommeranere] bor ganske vist på landet, men på grund af handelssamkvemet med byerne taler de begge sprog. De er imidlertid så glade for det slaviske, at når en af vore [de tysktalende pommeranere] besøger nogen på hans bopæl ... så taler han næsten ikke tysk. Men det er sandt at sige vor fejl, fordi vi har alt for let ved at le ad dem, hvis sprog vi ikke kender, når de taler vort. Når de først helt har tilegnet sig det slaviske sprog, lærer de så godt som aldrig tysk perfekt. Tysk har, som græsk, artikler [der, die, das; ein, eine, ein], men det slaviske bliver talt uden artikler, som latin. Hvis vi ville gøre os klart, at denne mangel, hvis det er en mangel, ikke kommer af uvidenhed, men snarere af forskellen i sprogbrug, så ville vi ikke på så ukristelig vis gøre os lystige over det allerede temmelig kristne

og dannede folk, men tværtimod respektere dem som en tilbagebleven del af vort eget folk (s. 85).

Bugenhagen udviser stor solidaritet med de slavisktalende landboer og betegner dem udtrykkeligt som en „del af vort eget folk”, og jeg tror ikke, vi skal lægge for megen vægt på ordene „hvis sprog vi ikke kender”. Det må også ligge i det, at den tyske mand fra byen godt har kunnet forstå, hvad den slaviske landbo sagde på slavisk.

Bugenhagens Pommern i nutid og fortid

Det Pommern, Bugenhagen beskæftiger sig med som det nutidige Pommern, svarer formodentlig nøje til det Pommern, der fremgår af 1633-kortet. Og han begynder sin beskrivelse med at give en forklaring på, hvorfor de pommerke fyrster fra gammel tid af ikke bare har betegnet sig som fyrster over Pommern, men også som „Herzöge der Slawen”. Men han må „skille slavere fra slavere”, og det „Slawien”, han beskæftiger sig med, er det, der ligger i området fra Sachsen til Østersøen - med byerne Stralsund, Rostock, Wismar og Lüneburg og med bispesæderne Lübeck, Hamburg, Schwerin, Schleswig og Cammin.

Dette „Slawien” er adskilt fra sine broderfolk bøhmerne og preusserne ved flere vandløb og fra goterne [svenskerne] og danskerne ved det hav, man kalder det salte. Dette folk er meget stærkt og modigt, ja, er ofte præget af ubesindig dristighed, og dets lyst står til fiskeri og landbrug. Det er mere gudfrygtigt end de ovenfor omtalte slavere, især, fordi det driver handel med tyskerne og blander sig med dem ... Ikke kun tyskere, men også mange slavere bor ved [Østersøens] kyster, idet dog de, jeg lige har kaldt slavere, nu hører til de på en måde allermest tyske, det vil sige til dem, der opfører sig allermest humant og uden list og svig, ja, er blevet til de allermest kristne, efter at de har undergivet sig Kristus, verdens skaber, styrer og frelser, og har aflagt deres gudløse religion og dermed deres trodsige, vilde væsen og nedarvede sprog. Siden da er de blevet regnet til tyskerne (s. 26).

I afsnittet „Hele Pommern” kommer Bugenhagen nærmere ind på, hvilke folk og stammer selve Pommern grænser op til og har inden for sine grænser. Til allersidst i det forrige afsnit var han gået helt mod øst til „die Ruthenen”, hvilket her betyder alle de østslaviske folk, hvorefter han nævnte polakkerne og „die Pruzzen”, det baltiske folk, hvis sprog nu er uddødt, men som det senere tyske Preussen

har sit navn fra. Men nu skriver han, at vest for Polen kommer man til den vidt udstrakte provins, hvor de mange forskellige slaviske stammer bor, der blandt andet er blevet betegnet som „Wenden”, vendere. Og det sidste er jo altså, hvad vi her i Danmark har kaldt de slavere på den anden side af Østersøen, vi både sloges og fraterniserede med, ja, som bosatte sig flere steder på Lolland-Falster, så vi den dag i dag har slaviske stednavne som fx Tillitse og Korselitse.

Senere (s. 41) nævner Bugenhagen Rügen, hvor „die Ranen” (rani) bor, engang slavernes tapreste stamme. Rügen spiller en stor rolle i dansk sammenhæng. I 1168 erobrede danskerne borgen Arkona på Rügen, og det endte med, at Rügen fik den danske konge som lensherre, og at Paven lagde Rügen under Roskilde Stift (indtil 1534). Men disse forhold kommer Bugenhagen ikke ind på. Til gengæld optræder „der Dänenkönig” flere andre steder, som regel voldeligt! Og der er i registret 18 sidehenvisninger til „Dänemark, Königreich”.

Wolin og Stettin

Af helt særlig interesse er det, at Bugenhagen på grundlag af de gamle krønikers beretninger om Harald Blåtands død i byen Vineta - eller måske Wolin - skriver, at „Harald, danskernes kristne konge, såret af sin søn, skal være flygtet dertil og mod al forventning være blevet venligt modtaget af barbarerne og have endt sit liv der” (s. 45).

Afsnittet om Wolin begynder med nogle overvejelser, der også optræder andre steder i skriftet, om ingen ringere end Julius Cæsars plads i områdets historie. Bynavnet Julin(a), som nogle steder bruges om Wolin, menes fx at komme af fornnavnet Julius. Dette har selvfølgelig intet med virkeligheden at gøre, men må ses som et kuriøst eksempel på, hvor ivrig Bugenhagen er for at give sit land en lang og storslået fortid. Men han er ikke alt for benovet:

Det handler jo for os ikke om anseelsen, som om vi skulle være vokset op af Julius’ eller romernes blod. For hvad har vi med de hedninger at gøre, hvis dårskab vore forfædre har efterabet og derved [ville have] udleveret både os og de andre til den evige pine, hvis ikke Herren Kristus i den nye tid havde forbarmet sig over synderne og havde rakt sin hjælpende hånd til dem, der var trykket af en uhyre byrde. Kun ham kan vi rose os af, hvis der er nogen anledning til at rose sig, ikke den Julius, hvis navn vi ikke benytter til ros, men kun som bevis for vor stammes høje alder (s. 46).

Man skal her huske på, at Bugenhagen endnu på dette tidspunkt var katolsk præst, om end allerede af

den evangeliske og bibelhumanistiske slags. Det var vist først i 1520, Bugenhagen læste et skrift af Luther, nemlig *Kirkens babyloniske fangenskab*.

Lidt senere nævner Bugenhagen som et bevis på, hvor stærk en by Wolin/Julin tidligt havde været, at julinerne helt alene havde holdt stand mod hele den danske magt. Men på et tidspunkt brændte Wolin/Julin ned, og der var, da Bugenhagen skrev „Pomerania”, kun lidt af dens fordums storhed tilbage. Fyrst Bogislaw og hans fyrstehof har dog nu givet den et smukkere udseende.

Men Stettin er Pommerns hovedstad. Og den besøges af de rigeste købmænd fra mange af folkene rundt omkring og udmærker sig ved den pommerke fyrstes prægtige hof, ja, er stor og folkerig og vel befæstet med mure. Og den har „en ikke ringe overflod af alt, hvad der både indefra og udefra strømmer igennem den” (s. 42). - Ifølge leksikonet *Den Store Danske* var Stettin Pommerns hovedstad fra 1487. Jeg må afstå fra at gøre nærmere rede for, hvor de pommerke fyrster har resideret.

Pommern og Polen

Bugenhagen fremhæver gang på gang, hvordan Pommern har bevaret sin selvstændighed i forhold til såvel Sachsen som Polen, så at den pommerke fyrste hører direkte under kejseren og den pommerke kirke direkte under paven i Rom. Afsnittet „Pommeranerne er ikke undergivet polakkerne” begynder:

For at ikke nogen igen skal regne os til polakkerne, hvis sprog vore landsmænd i sin tid har forstået og har talt ret godt, skønt dette kan siges om alle slavere, regner jeg det for umagen værd at vise, at Pommern, siden det fik sit navn, og siden opdelingen af Lechitteriget [die Lechitenherrschaft] ikke har været undergivet Polen (s. 69).

Polakkerne stammer som bekendt fra sagnfiguren Lech, og dele af Pommern har i perioder mere eller mindre hørt under Polen eller betalt tribut til den polske konge. Men nu lidt mere om Bugenhagens syn på forholdet mellem pommeranerne og polakkerne. Pommeranerne har dygtigt kunnet give polakkerne råt for usødet. Og Bugenhagen siger hertil:

Er der ikke opstået et så stort gensidigt had, at de snarere har haft glæde ved at tilføje hinanden sår end ved at handle med hinanden? For et sådant, for at sige det rent ud, ualmindelig vildt og på sine egne kræfter stolende folk [pommeranerne] var ikke i stand til at underordne sig andre, men holdt det for mere ærefuldt at lide døden og med

stor udgydelse af blod at opgive ånden. Og dette afgudsdyrkende folk kunne ikke bevare troskab mod de kristne, om de end havde lovet og svoret det ... For dem var der nemlig ikke noget mere gudfrygtigt end, trods den aflagte troskabsed, at spotte de fjender, der fremfor alt spottede deres afgudsbilleder (s. 70).

Da pommeranerne var blevet omvendt til den kristne tro, blev det noget anderledes. Men Bugenhagen beskriver også de nu kristne pommeraneres reaktion, når de bliver beskyldt for at være dårlige kristne:

[Så vil en pommeraner] straks rive dig i håret eller slå dig med næven i ansigtet eller, hvad der virkelig er forfærdeligt, stikke dig en dolk i brystet, medmindre han er udstyret med klog indsigt og mener, at den ham forvoldte uret skal bæres med sindsro (s. 70).

Lidt senere gengiver Bugenhagen den polske konge Bolesław III's meget hårde anklager mod pommeranerne over for biskop Otto, hvori han blandt andet siger, at pommeranerne har hærget med yderste grusomhed inde i Polen, ja, har slået tænderne ud af de faldne polakkers kranier og spredt deres knoglerester på markerne og trampet på dem. Og

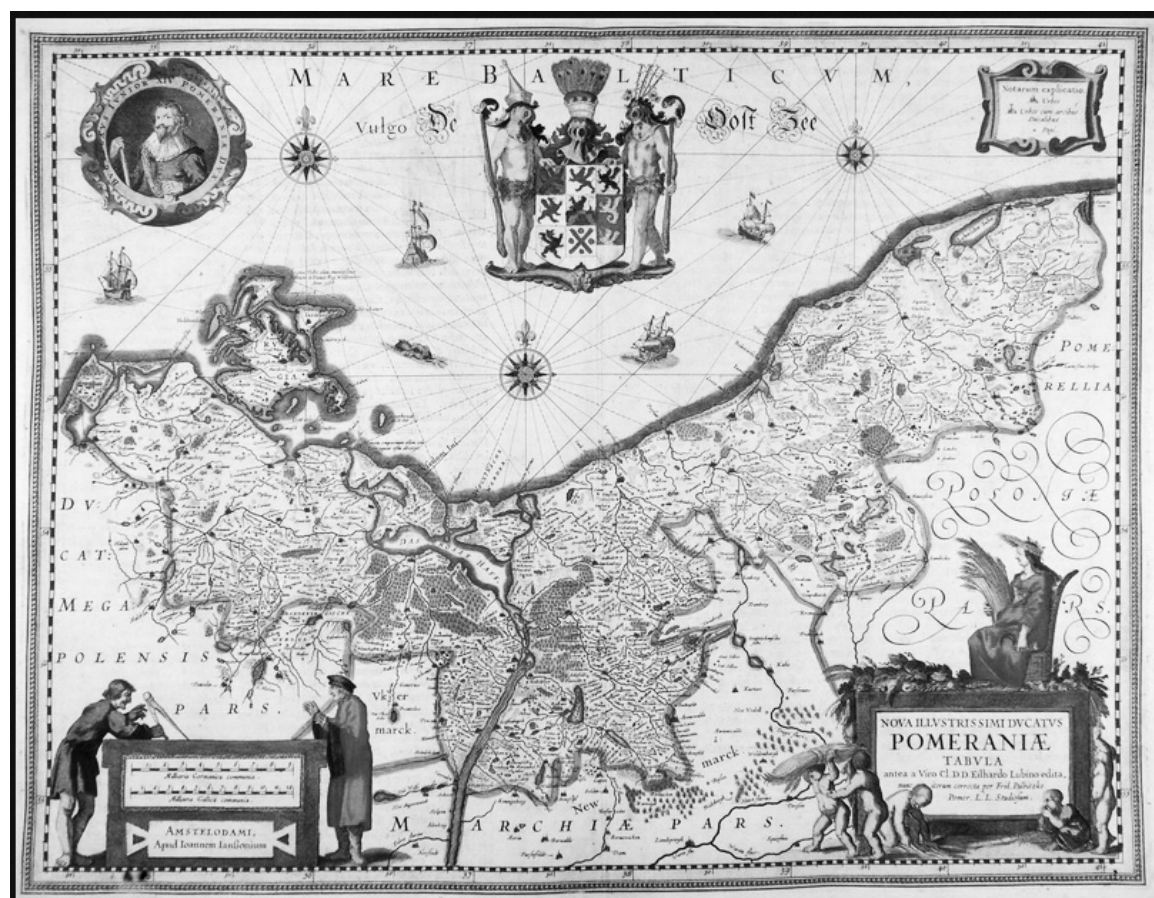
det vil han ikke kalde godt. Men da pommeranerne var blevet omvendt til den kristne tro, gjorde de kun indfald i fremmed område, hvis det var nødvendigt! Når polakkerne senere har haft ondt i sinde mod pommeranerne, „da har Swantopolk, Pommerns hertug ... med sejrrig hånd kastet det polske åg af og siden 1200 tappert forsvaret sig og sine besiddelser (s. 73).

Jeg vil slutte med en oplysning i skriftets 4. bog „Hvad der ellers er sket i Pommern“, der både er sjov og har med forholdet mellem Danmark og Pommern at gøre:

I året 1323 var vinteren så streng i januar måned, at man, som det berettes, kunne gå over isen fra Pommern til Danmark. Og der blev, hvis det passer, udskænket øl i de mange hytter, der var blevet bygget på isen (s. 286).

Til allersidst står med stor skrift på henholdsvis den latinske og den tyske side: „Christo gratia“ - „Dem Herrn sei Dank“.

Bent Christensen, forfatter, pastor emeritus, dr. theol. og cand. mag. i dansk/russisk



WYSTAWA „JOHANNES BUGENHAGEN - WOLINIANIN, DOKTOR POMERANUS, OBYWATEL EUROPY”

24 czerwca 2017 r. w Muzeum Regionalnym im. Andrzeja Kaubego w Wolinie odbyło się otwarcie wystawy pt. „Johannes Bugenhagen – Wolinianin, Doktor Pomeranus, Obywatel Europy”.

W uroczystości wzięli udział goście z Danii, Niemiec oraz Polski. W składzie delegacji duńskiej obecni byli, biskup Roskilde Peter Fischer-Møller z Duńskiego Narodowego Kościoła Luterńskiego, biskup Kopenhagi Czesław Kozon z Kościoła Katolickiego w Danii, pastor Maria Harms z Duńskiego Narodowego Kościoła Luterńskiego, przewodnicząca Federacji Polonia p. Lidia Szuster, honorowy przewodniczący Federacji Polonia p. Roman Śmigielski.

Partnerskie miasto Wolina – Usedom – reprezentował burmistrz tego miasta p. Gert Venland. Wśród Gości z Polski obecni byli m.in. burmistrz Wolina p. Eugeniusz Jasiewicz, wicestarosta kamieński p. Marek Matys, proboszcz parafii z Chojny ksiądz Jan Zalewski (długoletni polski duszpasterz w Danii),

proboszcz parafii luterńskiej w Szczecinie pastor Sławomir Sikora oraz dyrektor Muzeum Ziemi Kamieńskiej p. Grzegorz Kurka.

Obecność przedstawicieli Dani i Niemiec na otwarciu wystawy nie była przypadkowa, ponieważ postać Jana Bugenhagena łączy nasze narody, stanowi o naszym wspólnym dziedzictwie w obrębie kultury chrześcijańskiej, jest wspólnym wątkiem polskiej, duńskiej i niemieckiej historii, ale przede wszystkim historii tej ziemi, historii „Pomeranii”.

Gości przybyłych na uroczystość powitał burmistrz Wolina p. Eugeniusz Jasiewicz w „Dworku Wolińskim”. Podczas krótkiego spotkania przy kawie zebrani zostali zapoznani z miastem, jego strukturą oraz historią. Dla delegacji duńskiej była to już druga wizyta w Wolinie. Pierwsza miała miejsce 4 października 2012 r. z okazji 1025 rocznicy śmierci w Wolinie króla duńskiego Haralda Gormssona, zwanego Sinozębym.

Uroczystość w Muzeum wolińskim została przygotowana z okazji 532 rocznicy urodzin Jana Bugenhagena oraz 500-lecia reformacji. Wystawa ukazuje życie i dokonania tego wielkiego Wolinianina, człowieka niezwykle zasłużo-

Biskup Roskilde Peter Fischer-Møller i Roman Śmigielski



nego w działalności teologicznej, pedagogicznej, społecznej czy dyplomatycznej, który swą pracą wywarł wielki wpływ na rozwój kultury ówczesnego Pomorza, a którego sława sięgnęła daleko poza granicę ziem nadbałtyckich.

Tytuł wystawy jest nie przypadkowy. Wolinianin – bo tu się urodził, Doktor Pomeranus – stoi za tym jego dorobek naukowy, Obywatel Europy – ponieważ jego dokonania mają charakter międzynarodowy.

Podczas otwarcia wystawy biskup Roskilde Peter Fischer-Møller zapoznał zgromadzonych z drogą życiową Jana Bugenhagena, akcentując szczególnie wątek duński, tj. koronowanie przez Bugenhagena króla duńskiego Chrystiana III w 1537 r. oraz konwertowanie Duńskiego Kościoła Katolickiego na Kościół Protestancki, a także reaktywowanie przez niego Uniwersytetu Kopenhaskiego i kierowanie nim w charakterze rektora tej uczelni.

Następnie biskup Czesław Kozon nakreślił aktualną sytuację Kościoła Katolickiego w Danii oraz uwypuklił wątek współpracy obu kościołów w obrębie kultury chrześcijańskiej. Przypomniał o spotkaniu ekumenicznym Papieża Franciszka

w katedrze w Lund (Szwecja) z udziałem kapłanów oraz wiernych obu kościołów, które odbyło się 31 października 2016 r.

W trakcie zwiedzania wystawy przedstawiono zebranych kilka pamiątek po Bugenhagenie. Zaprezentowano dzieło „Pomerania” z uwypukleniem jego fragmentów dotyczących historii Wolina, na makiecie Wolina pokazano dom w którym się urodził oraz zdjęcia z uroczystości zawieszenia „Dzwonu Bugenhagena” w katedrze św. Mikołaja w Greifswaldzie, z okazji 525 rocznicy jego urodzin (24.06.2010 r.).

Po spotkaniu w Muzeum goście zwiedzili w Wolinie kościoły św. Mikołaja, św. Stanisława, gdzie proboszcz parafii ksiądz Leszek Konieczny spotkał się z gośćmi, obejrzeni miejsce, w którym był kościół św. Jerzego Wojciecha oraz wolińską Marinę.

Wracając do samej wystawy, to dzieli się ona na kilka rozdziałów, każdy z nich obejmuje inny okres w życiu reformatora, począwszy od narodzin w Wolinie, poprzez pracę teologiczną, społeczną, historyczną oraz dyplomatyczną.

WSZYSTKO CO NIE JEST PROZĄ, JEST WIERSZEM

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Wszystko, co nie jest prozą, jest wierszem, a wszystko, co nie jest wierszem, jest prozą.

PAN JOURDAIN

A tak, jak się mówi, to co jest takiego?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

To proza.

PAN JOURDAIN:

Jak to? Więc kiedy mówię: Michasiu, podaj mi pantofle i przynieś krymkę - to proza?

NAUCZYCIEL FILOZOFII:

Tak, panie.

PAN JOURDAIN:

Daję słowo, zatem ja już przeszło czterdzieści lat mówię prozą, nie mając o tym żywego pojęcia! Jestem panu najszczerzej obowiązany, żeś mnie pouczył.

(Molier: „Mieszczanin szlachcicem”, akt II, scena VI)



Książka „Pociąg do smaku” nie jest prozą. To album poetycko-fotograficzny stworzony przez dwie młode Polki zamieszkałe w Aarhus. Za część poetycką odpowiada urodzona w Toruniu Marta Eleonora Gajewska, która po licznych przeprowadzkach (Ciechocinek, Aleksandrów Kujawski, Łódź, Toruń, Barcelona) trafiła do Danii. Z wykształcenia lekarz, z zamiłowania artystka, w szerokim i swobodnym tego słowa rozumieniu. Prowadziła Teatr Eksperymentalny Eu Thanatos w Łodzi, przez lata aktywnie uczestniczyła w Ogólnopolskich Spotkaniach Poetyckich Biała Lokomotywa w Aleksandrowie Kujawskim, czynnie współtworzyła Grupę Poetycką WARS, od lat współorganizuje szereg wydarzeń kulturalnych na różnych płaszczyznach. Poetycko zadebiutowała w 2002 r. w Cudnych Manowcach (dodatku do Akantu). Jej debiutanci tomik Szybka Brama Lekarstw (wyd. Komograf, Warszawa, 2010) zapoczątkował Dalekobieźną Serię Wydawniczą gp-WARS. Wiersze publikowała m.in. w antologiach Otwórzmy Okna (2002), Wolny Wagon Poetycki (2010), Sudecki Wagon Poetycki (2011), Letni Expres Poetycki (2013), Pociąg Naszego Wieku (2015) oraz na łamach Pulsu Aleksandrowa, Meritum, portalu Instynkt. Prywatnie uwielbia podróże, zaczytuje się tym i owym przy dźwiękach smoothjazz'u oraz nieustannie szuka nowych wyzwań.

Autorką ilustracji jest urodzona w Hrubieszowie Renata Giergielewicz. Absolwentka kierunku animator i menedżer kultury, ze specjalizacją: fotografia, na UMCS w Lublinie. Ukończyła również animację społeczno-kulturową na UJ w Krakowie. Fotografia to hobby, które rozwija od dziecka z różną intensywnością. Miłośniczka kotów, wegańskich pyszności, górskich wędrówek i szukania nowych pasji.

Pomysł książki u Marty E. Gajewskiej narodził się dawno temu. Upodobanie do podróży i dobrej kuchni, szło w parze z chęcią prowadzenia smakowitych zapisków. Powstały pierwsze opowiadania o miastach pachnących szczególnym aromatem. Pomysł rozwijał się, teksty mnożyły, zapachy mieszały, a całość została okraszona fotografiami z różnych zakątków świata, autorstwa Renaty Giergielewicz.

Książka jest zestawem opowiadań napisanych prozą poetycką, a także powiązanych z nimi wierszy i fotografii. Tomik ukazał się dzięki finansowaniu społecznościowemu poprzez platformę polakpotrafi.pl. Poniżej prezentujemy drobne fragmenty (zapachy i smaki) tej książki.

[Marta Eleonora Gajewska „Pociąg do smaku”, Wydawnictwo Komograf, Warszawa 2017]

Roman Śmigielski

Aa.

Pierwszy spacer przytłaczał szarością. Monotonia nie pozwalała oczom odpocząć. Cztery białe ściany, tymczasowo zamieniło się na szeregi identycznych budynków otaczających z czterech stron świata. Nie była to chyba najlepsza decyzja. Szło się przez zimę. Mijani ludzie, choć tak zwykli, sprawiali wrażenie zupełnie innych. A może po prostu obcych? Kawiarnie, choć liczne, stanowiły jedynie filie tej samej firmy. Wchodząc do środka, trudno było odgadnąć, w której części miasta się znalazło. Ta sama kawa, przy takim samym stoliku, nic nieprzewidzianego nie śmiałoby zakłócić atmosfery.

Szło się zatem główną ulicą, tak zwaną „ulicą idącą”. Obco brzmiące nazwy przykuwały uwagę. Język pomimo najszczerzych chęci, nie był w stanie sprostać ich wymowie. Patrzyło się na architekturę, wyszukując zabytków. Owszem, któraś z kolei wycieczka z przewodnikiem objawiła ich obecność. Początkowo jednak, niewiele udało się zauważyć. Surowa katedra, sprawiająca wrażenie opuszczonej. Piękny teatr, jakby wyrwany z kontekstu, niepasujący do otoczenia ani maskaronem, ani złocistymi zdobieniami. Ratusz, nieprzypominający znanych ratuszów. Szokujący szarością, kwadratowością i ewidentną brzydotą. Rozstawione gdzie nie gdzie postaci z brązu o niewiadomym pochodzeniu i znaczeniu. Jedynym wyrazem poczucia humoru wydawała się rzeźba prosiaków przy korycie, stojąca z boku ratusza. Czyżby zdolność do samokrytycyzmu?

Nie miało się wówczas dobrego wrażenia. Niewykluczone, że to duch przepełniony tęsknotą nie pozwalał widzieć więcej, czy może patrzeć głębiej. Możliwe też, że pora roku zniechęcała do uważniejszego przyglądania się. Tak czy inaczej – nie napępniało się optymizmem.

Wiosna przyszła z nienacka. Ukazała się polami kwitnących krokusów i żonkili. Fiolet i biel tych pierwszych nakryła całe miasto awangardowymi dywanami. Te drugie, zwane wielkanocnymi liliami, rosły nawet w najbardziej nieoczekiwanych zakątkach. Wyłaniały się żółcią z pomiędzy ceglanych kamienic. Soczysta zieleń trawników przyciągała amatorów pikników. Wielopokoleniowe grupy mieszkańców przypiekały kiełbaski na rożnach, zagryzały surowe ogórki, popijały gazowane napoje i osładzały chwile marcepanem. Aleje zabrzmiały głosami studentów. Młode twarze nadawały uśmiech miastu. Uliczni artyści prześcigali się w improwizacjach. Jedynie piątkowe wieczory wcinęły się rezonansem, przepełnione odorem alkoholu i chwiejnością kroków.

Latem echo niosło dźwięki festwali. Pachniało jazzem i ulicznymi teatrami. Alternatywa zmieszana z tradycją, nowoczesność z klasyką, pastele z odcieniami szarości. Znalazła się i plaża, i las, i jezioro z zadomowionym tam ptactwem. Na obrzeżach tętniącego życiem miasta, dostrzegło się nie wysłowny spokój. Jednym symbolicznym krokiem przemieszczało się z tłumu do samotni. Nietrudno było o ucieczkę, gdy natrętnie pojawiająca się obcość dawała o sobie znać.

Nie chciało się uciekać. Chciało się móc powiedzieć „dom”. Rozglądało się za tymi trzema literami, szukało się ich w ludziach, budynkach, otaczającej przestrzeni. Uśmiechało się do kolorów wiosny i zapachów lata, łudząc się za każdym razem ich soczystością. Nie wierzyło się w nieuchronność pór roku.

A potem... przyszła jesień.

Marta Eleonora Gajewska

- Diegowi

Mało wypiekam wierszy
chleba wcale.

W domu unosi się zapach owsianych ciasteczek
bez cukru
dobrych dla dzieci.

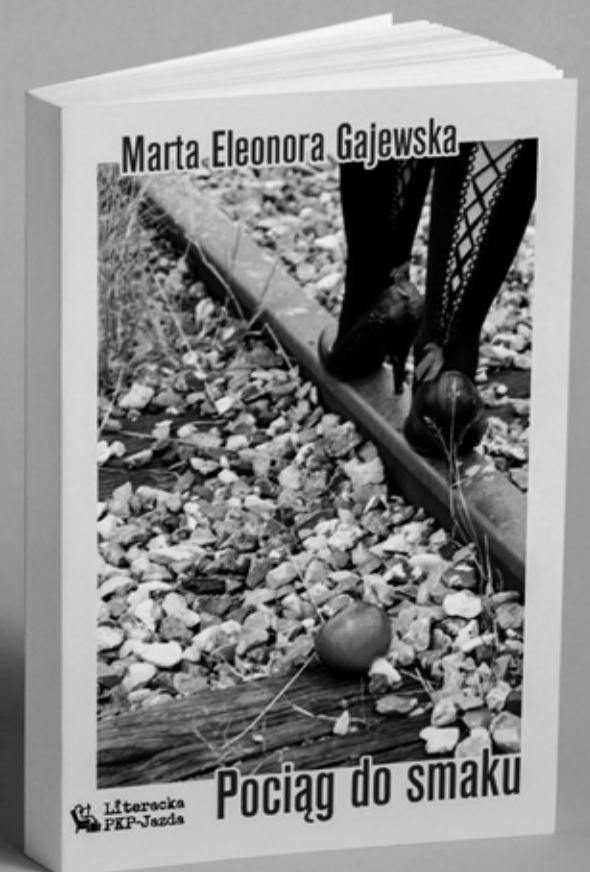
Robot kuchenny
ograbił mnie nieco z kreatywności,
za to dał wolne ręce.

Nie trzymam w nich pióra,
tylko małe istnienie.

Wpisało się we mnie samoistnie
tuszem permanentnym.

Pachnie.

7.05.15 Marta Eleonora Gajewska



STOWARZYSZENIE KATOLIKÓW POLSKICH NA WĘGRZECH PW. ŚW. WOJCIECHA



Polski kościół na Kőbányi w Budapeszcie – wewnątrz

Przyjaźń Polski i Węgier trwa od tysiąca lat. Na wspólną historię i działalność obu państw powołują się często rządy polskie i węgierskie. Nie należy więc się zbytnio dziwić, że dla zamieszkałej tam Polonii, naturalnym niejako obowiązkiem było, i powinno być nadal, prowadzenie działalności na rzecz podtrzymywania, a nawet umacniania tych związków.

Obecnie na Węgrzech istnieje i działa kilka organizacji polonijnych - m.in. Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Józefa Bema, Ogólnokrajowy Samorząd Polski na Węgrzech, Ogólnokrajowa Szkoła Polska na Węgrzech, Parafia Polska oraz Stowarzyszenie Katolików Polskich na Węgrzech św. Wojciecha - łącznie około 75 zorganizowanych ośrodków polonijnych.

Po okresie stalinowskim pierwszym krokiem do wznowienia i odrodzenia się Polonii węgierskiej było powstanie Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. Józefa Bema. Zgodę na jego utworzenie wydano

w roku 1958 na prośbę przedstawicieli tamtejszej Polonii i dzięki wsparciu polskiego rządu. Stowarzyszenie stało się niepisanyą spadkobiercą działających na Węgrzech przed II wojną światową polskich organizacji społecznych obumarłych bądź zlikwidowanych przez ówczesne władze komunistyczne.

Dużym krokiem do przodu, po roku 1989, po odzyskaniu przez oba nasze kraje wolności, było ponowne powołanie Polskiej Parafii Personalnej w Budapeszcie w roku 1991. Kościół polski wraz z Domem Polskim, wybudowane przez Polaków w latach trzydziestych XX wieku, stanowiły centrum kultury i życia węgierskiej Polonii i polskich emigrantów. Znajdowały się tam polskie organizacje, a Siostry Elżbietanki uczyły języka polskiego i opiekowały się starszymi Polakami.

Dom Polski został upaństwowiony przez komunistów w latach pięćdziesiątych XX wieku. Dlatego zaraz po zmianach politycznych i odzyskaniu pełnej

wolności, powstała potrzeba utworzenia nowej organizacji, która byłaby w stanie stać się spadkobiercą tych obiektów. W ten sposób, w roku 1993, doszło do powstania Stowarzyszenia Katolików Polskich pw. św. Wojciecha i po kilku latach, dekretem prezydenta węgierskiej stolicy, w roku 1998 Dom Polski wraz z kościołem na Kőbányi wrócił w ręce naszych rodaków. Było to wielkie zwycięstwo całej tamtejszej Polonii.

Stowarzyszenie Katolików Polskich pw. św. Wojciecha na Węgrzech jest dziś organizacją kulturalno-charytatywno-duszpasterską. Aby zostać jej członkiem, trzeba być praktykującym chrześcijaninem. Trzeba też uczestniczyć na co dzień w życiu polskiej parafii w Budapeszcie i promować kulturę chrześcijańską. Stowarzyszenie jest również organizatorem licznych imprez kulturalnych, takich jak: wystawy, propagujące kulturę chrześcijańską szeroko rozumianą, spotkania z ciekawymi ludźmi, sympozja naukowe czy wyświetlanie filmów.

Obchodzi ponadto wszystkie rocznice i święta polsko-węgierskie, a więc i święta narodowe. Jednym z nich jest, obchodzone od lat uroczyste, święto 3 Maja, które jest nie tylko rocznicą Konstytucji, ale również świętem Matki Bożej Królowej Polski, patronki Polonii zagranicznej. Z tej okazji w ogrodzie Domu Polskiego odbywa się rokrocznie uroczysty koncert poprzedzony zawsze okolicznościowym nabożeństwem w pobliskim kościele polskim w intencji Ojczyzny. Są też wręczane, tego dnia, medale im. ks. Wincentego Danki - pierwszego proboszcza, budowniczego kościoła i Domu Polskiego - ludziom najbardziej zasłużonym dla Stowarzyszenia i kościoła polskiego w Budapeszcie.

Stowarzyszenie nosi imię św. Wojciecha, który był pomostem łączącym, w czasach średniowiecza, wszystkie cywilizowane kraje Europy. I z tego właśnie powodu członkowie Stowarzyszenia wzięli sobie za cel łączenie ludzi na Węgrzech. Pamiętać tu warto, że św. Wojciech działał m.in. na Węgrzech, na dworze króla św. Stefana, a zginął w Polsce z rąk Prusów.

Stowarzyszenie jest członkiem Rady Duszpasterskiej Europy Zachodniej, Rady Polonii Świata i uczestniczy, jako obserwator, w Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych. Prowadzi również działalność charytatywną. Wielu bowiem ludzi żyje tam na krawędzi ubóstwa, szczególnie emerytów i ludzi starszych. Organizuje np., wspólnie z siostrami misjonarkami, co dwa tygodnie spotkanie dla seniorów. Raz do roku, 11 lutego, obchodzą ponadto Światowy Dzień Chorego. Przygotowują wówczas dla swoich gości obiad, organizowany wspólnie z pomocą finansową polskiego konsulatu.

W Domu Polskim mieści się też przedszkole prowadzone przez siostry misjonarki. Przedszkole otwarte jest w każdą sobotę. Rodzice przyprowadzają tam wówczas swoje pociechy. W Domu Polskim mieści się też redakcja kwartalnika Quo Vadis - kwartalnika Stowarzyszenia św. Wojciecha i Polskiej Parafii Personalnej p.w. Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych w Budapeszcie, wydawanego dzięki pomocy Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Stowarzyszenie przygotowuje też co roku Kalendarz



Dom Polski w Budapeszcie

Polonijny, który jest niejako jego kroniką.

Od ponad 10 lat działa przy Stowarzyszeniu chór polonijny pod wezwaniem św. Kingi. Pomysł jego założenia zrodził się podczas pielgrzymki do Grecji śladami apostoła św. Pawła. Chór ma piękne stroje i często koncertuje. Był już kilka razy w Polsce, ostatnio na Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie. Koncertował też zagranicą dla Polonii i na Węgrzech.

Stowarzyszenie Katolików Polskich na Węgrzech św. Wojciecha powstało dla rodaków jako alternatywa w stosunku do innych świeckich stowarzyszeń polonijnych. Dla ludzi chcących mieć na co dzień kontakt z kulturą chrześcijańską.

tekst i zdjęcia **Leszek Wątróbski**

NIK O ODZYSKIWANIU UTRACONYCH DZIEŁ SZTUKI



Obraz Juliana „Przed polowaniem w Rytwianach”,
odzyskany w 2011 r.

W Polsce nadal nie opracowano strategii restytucji utraconych dzieł sztuki, w tym w wyniku II wojny światowej. Nie wdrożono również w prawie polskim kompleksowych regulacji dotyczących restytucji dóbr kultury, w tym wynikających z postanowień dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady (2014/60/UE), co zapewniłoby skuteczniejszą ochronę dziedzictwa kulturowego i zwiększyło możliwości odzyskiwania utraconych dzieł sztuki. Podmioty zajmujące się odzyskiwaniem utraconych dzieł sztuki – MKiDN i MSZ – nie współpracowały prawidłowo ze sobą, a zadania związane z odzyskiwaniem dzieł sztuki realizowały w miarę swoich możliwości organizacyjnych i finansowych. W konsekwencji w ciągu prawie 6 lat odzyskano zaledwie 28 pojedynczych oraz 6 zespołów dzieł sztuki.

Według danych Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w wyniku działań II wojny światowej Polska utraciła ok. 516 tys. dzieł sztuki. Wśród strat wojennych znajdują się dzieła wielkich mistrzów, m.in.: Jana Matejki, Stanisława Wyspiańskiego, Jacka Malczewskiego, Wojciecha Kossaka, Rafaela Santi, Pietera Bruegela, Agostino Carracciego czy Antona van Dycka. Zagrabione w Polsce zabytki oraz dzieła sztuki zostały rozproszone i obecnie znajdują się na całym świecie: w Niemczech, Rosji, Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, a nawet

w Turkmenistanie. Niektóre z nich wróciły do swoich właścicieli, inne zaginęły bez wieści.

Od wielu lat Polska znajduje się w czołówce państw europejskich zagrożonych przestępczością przeciwko zabytkom, czy mówiąc szerzej przeciwko dziedzictwu narodowemu. Każdego roku w wyniku działań przestępczych giną dziesiątki zabytkowych obiektów. Nie wiadomo dokładnie, ile ich skradziono, gdyż policja prowadzi statystyki dotyczące liczby spraw, a nie obiektów. Ponadto część spraw związanych z nielegalnym wywozem prowadzi Straż Graniczna, a nie policja, stąd dane te nie znajdują odzwierciedlenia w statystyce.

Restytucja dóbr kultury jest procedurą złożoną i uwarunkowaną wieloma niezależnymi czynnikami, takimi jak: prawodawstwo kraju, na terenie którego obiekt został odnaleziony (większość systemów prawnych chroni nabywcę w dobrej wierze), czy wola polityczna. Wiele dzieł sztuki od czasu wojny wielokrotnie zmieniło właściciela, a kolejni nabywcy nie byli świadomi jego pochodzenia. W takich przypadkach konieczne są niejednokrotnie trwające wiele miesięcy pertraktacje zmierzające do znalezienia kompromisowego rozwiązania. Działania restytucyjne podejmowane są nie tylko poza granicami Polski, ale także na terenie naszego kraju.

Najwyższa Izba Kontroli przeprowadziła kontrole w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego (MKiDN), Ministerstwie Spraw Zagranicznych (MSZ) oraz Narodowym Instytucie Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów (NIMOZ). Kontrolą objęto lata 2011-2016 (do 19 października 2016 r.).

Najważniejsze ustalenia kontroli

Po 1989 r. nie podjęto decyzji o przygotowaniu strategii restytucji utraconych dzieł sztuki, w tym w wyniku II wojny światowej, co utrudniało prowadzenie spójnej polityki Państwa w tym zakresie.

Nie zostały dotychczas wdrożone w prawie polskim kompleksowe regulacje dotyczące restytucji dóbr kultury, w tym wynikające z postanowień dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady 2014/60/UE. W MKiDN nie przygotowano projektu przepisów ustawowych, wykonawczych i administracyjnych niezbędnych do wykonania dyrektywy 2014/60/UE w sprawie zwrotu dóbr kultury wyprowadzonych niezgodnie z prawem z terytorium państwa członkowskiego w terminie umożliwiającym jej implementację do dnia 18 grudnia 2015 r. Brak implementacji do polskiego porządku prawnego postanowień dyrektywy 2014/60/UE oraz kompleksowych regulacji w zakresie restytucji dóbr kultury obniża efektywność i skuteczność działań restytucyjnych. Prawo polskie nie zawierało dotychczas przepisów regulujących sprawy restytucyjne i zagadnienia cywilnoprawne w tym zakresie.

W celu likwidacji istniejących luk prawnych, a także w celu implementacji do polskiego porządku prawnego postanowień dyrektywy 2014/60/UE w MKiDN został przygotowany projekt ustawy o restytucji narodowych dóbr kultury (22 grudnia 2015 r.). Pełna transpozycja dyrektywy 2014/60/UE do prawa krajowego była planowana w grudniu 2016 r., tj. z rocznym opóźnieniem. Jednak dopiero 8 marca 2017 r. projekt ww. ustawy wpłynął do Sejmu RP, gdzie został uchwalony 21 kwietnia br. i przekazany do Senatu RP. W projekcie tym uwzględniono wnioski z niniejszej kontroli NIK (patrz poniżej: Uwagi i wnioski).

W skontrolowanych ministerstwach (MKiDN i MSZ) nie powstały wewnętrzresortowe dokumenty określające zasady współpracy i kompetencji poszczególnych komórek organizacyjnych zajmujących się odzyskiwaniem utraconych dzieł sztuki. Nie wprowadzono również sformalizowanych uregulowań opisujących tryb i sposób działania w ramach postępowań restytucyjnych. Brak wystarczającej koordynacji działań restytucyjnych MKiDN

i Pełnomocnika Ministra Spraw Zagranicznych ds. restytucji dóbr kultury skutkowało powieleniem działań, co mogło niekorzystnie wpływać na przebieg prowadzonych spraw oraz wiarygodność strony polskiej na arenie międzynarodowej. Również proces przekazywania spraw z MSZ do MKiDN - w związku z odwołaniem Pełnomocnika Ministra Spraw Zagranicznych ds. restytucji dóbr kultury - nie przebiegał sprawnie.

Zdaniem Izby niewystarczająca była również współpraca MKiDN ze Stowarzyszeniem Antykwariuszy Polskich w zakresie wymiany informacji na temat polskich strat wojennych, mimo że strony deklarowały konieczność usprawnienia komunikacji i wzmocnienia współpracy. Natomiast pozytywnie NIK oceniła współpracę MKiDN z innymi podmiotami, w tym w ramach programu „Odzyskiwanie dzieł sztuki”, projektu „Muzeum Utracone”, jak również w związku z uruchomieniem aplikacji ArtSherlock.

W Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego gromadzone informacje o utraconych dziełach sztuki (stratach wojennych) ewidencjonowano w elektronicznej „Bazie strat wojennych”. Baza zawierała ponad 63 tys. rekordów (wg stanu na 14 września 2016 r.) i jest jedynym ogólnopolskim rejestrem dóbr kultury utraconych w wyniku II wojny światowej pochodzących z terytorium Polski po 1945 r., jednakże nie jest rejestrem publicznym, a informacje w niej zawarte gromadzone są w celach badawczych i informacyjnych. Baza nie stanowi także pełnego spisu dóbr kultury utraconych w wyniku II wojny światowej. Dane zapisane w bazie stanowią podstawę dla prowadzonych przez MKiDN poszukiwań strat wojennych i podejmowania działań restytucyjnych.

W ocenie NIK jakość danych w bazie jest niska (brak zdjęć eksponatów, powtarzające się rekordy), a jej struktura niespójna. Ponadto do dnia zakończenia kontroli MKiDN nie wyegzekwowało przeprowadzenia przez muzea weryfikacji danych przesłanych w latach 90. XX w., a stanowiących podstawę wpisów do „Bazy strat wojennych”.

Jedynie część polskich strat wojennych zarejestrowana była również w dwóch międzynarodowych i największych bazach danych: serwisie Interpolu - *Stolen Works of Art* - 737 obiektów (1,2 proc. zasobów z bazy), a także *Art Loss Register* - 4.782 obiekty (7,6 proc. zasobów z bazy). Głównymi przyczynami niewielkiego udziału zasobów bazy w tych serwisach był brak niezbędnych informacji w dokumentacji na temat poszukiwanych obiektów, wymaganych przez Interpol oraz *Art Loss Register*, a także ograniczenia kadrowe ministerstwa.

NIK zwraca uwagę, że w latach 2011-2016 odzyskano niewielką w stosunku do strat liczbę dzieł sztuki - 28 pojedynczych oraz 6 zespołów dzieł sztuki. W badanym okresie prowadzono łącznie 67 postępowań dotyczących zwrotu dzieł sztuki, w ramach których złożono 34 wnioski restytucyjne. Wnioski restytucyjne nie zostały opracowane w sytuacjach, gdy obiekt został odnaleziony lub zabezpieczony w wyniku działań organów ścigania czy egzekucji komorniczej.

Wśród odzyskanych dzieł sztuki w badanym okresie znalazły się m.in.: obrazy Juliana Fałata: „Przed polowaniem w Rytwianach” (wartość: 300 tys. zł) i „Naganka na polowaniu w Nieświeżu” (wartość: 250 tys. zł), obraz Francesco Guardiiego „Schody pałacowe” (wartość: 800 tys. zł), rzeźba Antoine Houdona „Popiersie Diany” (wartość 149 tys. zł), stolik do gry z kolekcji mebli króla Stanisława Augusta Poniatowskiego (wartość: 140,3 tys. zł) oraz obraz Aleksandra Gierymskiego „Żydówka z pomarańczami” (wartość 579 tys. zł.). Ten ostatni obraz pojawił się w Niemczech, w małym domu aukcyjnym Eva Aldag w Buxtehude pod Hamburgiem. Był wystawiony na aukcji 27 listopada 2010 r., odzyskano go w 2011 r. Warto zwrócić uwagę, że udało się odzyskać dzieła sztuki z tak egzotycznych państw jak Wenezuela. Nie było to jednak proste. Dopiero po 80 miesiącach procesu restytucji do kraju powrócił zespół 42 rysunków i grafik polskich artystów (XVII-XX w. - A. Orłowski, Z. Vogel, J. Kossak, J. Chełmoński, P. Michałowski i inni), a wartość rynkowa odzyskanych dzieł wynosi ponad 454 tys. zł.

W sumie wartość dzieł sztuki odzyskanych przez MKiDN wyniosła ponad 7,3 mln zł. Koszty ich pozyskania wyniosły 1,17 mln zł (15,8 proc. wartości tych dzieł). W zdecydowanej większości zakończonych postępowań restytucyjnych (90 proc.) informacja o odnalezieniu obiektu pochodziła od osób trzecich i nie była skutkiem bezpośrednich działań podejmowanych przez pracowników Ministerstwa.

Do zakończenia kontroli 46 postępowań restytucyjnych prowadzonych przez MKiDN nie było zakończonych. Z tej liczby 20 postępowań dotyczyło wniosków restytucyjnych złożonych do władz Federacji Rosyjskiej, które były prowadzone przez MSZ. Łączna szacunkowa wartość wciąż rewindykowanych dzieł sztuki wynosiła ponad 68 mln zł.

W MKiDN nie zostały zapewnione wystarczające zasoby kadrowe i techniczne komórki zajmujące się odzyskiwaniem utraconych dzieł sztuki. Liczba osób zatrudnionych w Wydziale ds. Strat Wojennych MKiDN (cztery) oraz zasoby techniczne nie są współmierne do zakresu przydzielonych zadań.

W konsekwencji nie można było przygotować kolejnych wniosków restytucyjnych (ok. 60), wydłużały się prace nad weryfikacją i uzupełnianiem danych w „Bazie strat wojennych”, utrudnione było upublicznienie danych o wszystkich obiektach w serwisach internetowych. Z kolei w MSZ odzyskiwaniem utraconych dzieł sztuki zajmowały się dwie osoby, a w Narodowym Instytucie Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów od trzech do pięciu osób. W działalności NIMOZ stwierdzono przypadki długotrwałego tworzenia kart informacyjnych o utracie zabytku wprowadzanych do bazy „Krajowego wykazu”, a także przypadki niewłaściwego ewidencjonowania zgłoszeń.

Łącznie na realizację zadań przez kontrolowane podmioty w badanym okresie wydatkowano prawie 9,7 mln zł (MKiDN - 5,4 mln zł, MSZ - 1,5 mln zł, NIMOZ - 2,7 mln zł). Nie stwierdzono przypadków wydatkowania środków finansowych niezgodnie z przeznaczeniem. Wsparciem dla działań Państwa w tym obszarze były środki pochodzące od jednostek spoza sektora finansów publicznych.

Uwagi i wnioski

W celu zapewnienia efektywnych i skutecznych działań na rzecz odzyskania utraconych dzieł sztuki Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Minister Spraw Zagranicznych powinni:

- wypracować zasady współpracy i wymiany informacji z podmiotami zaangażowanymi w restytucję utraconych dzieł sztuki;
- zintensyfikować prace nad zaktualizowaniem oraz weryfikacją danych o obiektach zarejestrowanych w prowadzonych bazach i katalogach strat wojennych.
- Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego powinien ponadto:
- rozważyć opracowanie dokumentu o charakterze strategicznym, normującego organizację procesu odzyskiwania dzieł sztuki, w tym zakres i zasady współpracy pomiędzy uczestnikami działań restytucyjnych;
- zapewnić warunki do prawidłowej realizacji zadań w zakresie odzyskiwania utraconych dzieł sztuki, m.in. poprzez: opracowanie formalnych uregulowań określających sposób postępowania restytucyjnego w określonych przypadkach; zwiększenie zasobów kadrowych do realizacji zadań związanych z odzyskiwaniem dóbr kultur; poprawę warunków technicznych, w tym poprzez pozyskanie i stosowanie oprogramowania dedykowanego do automa-

tycznego poszukiwania utraconych dóbr kultury w serwisach internetowych.

Działania po kontroli NIK

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przygotowało wspomniany projekt ustawy o restytucji narodowych dóbr kultury, który został uchwalony przez Sejm RP i ustawa aktualnie jest procedowana przez Senat RP. Ustawa jednoznacznie wskazuje ministra właściwego do spraw kultury i ochrony dziedzictwa narodowego jako organ odpowiedzialny za restytucję dóbr kultury. Zawiera ona m.in. uregulowania określające sposób prowadzenia postępowań restytucyjnych oraz tryb, zakres współpracy i wymiany informacji między właściwymi podmiotami.

MKiDN rozpoczęło również działania na rzecz poprawy warunków do prawidłowej realizacji zadań związanych z restytucją poprzez m.in. zwiększenie zatrudnienia oraz wzrost środków finansowych. Zintensyfikowano także prace związane z „Bazą

strat wojennych” (weryfikacja danych, zwiększenie funkcjonalności, upublicznienie w międzynarodowych bazach danych). Stworzono także nowy mechanizm finansowy (Program Ministra „Badania Polskich Strat Wojennych”) umożliwiający instytucjom kultury uzyskanie środków na zweryfikowanie i uaktualnienie informacji nt. strat wojennych.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych zobowiązało się do aktualizacji danych dotyczących spisu poszukiwanych dóbr kultury, zagrabionych na obecnym terytorium Polski w latach 1939-1945, a także podjęło działania dotyczące bieżącej wymiany informacji i koordynacji działań restytucyjnych.

Z kolei Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów podjął działania na rzecz usprawnienia wewnętrznej procedury związanej z prowadzeniem „Krajowego wykazu zabytków skradzionych lub wywiezionych za granicę niezgodnie z prawem”.



Obraz Aleksandra Gierymskiego „Żydówka z pomarańczami”, odzyskany w 2011 r.



Obraz Anny Bilińskiej-Bohdanowiczowej „Murzynka”, odzyskany w 2011 r.



Obraz Jozefa Brandta „Czaty”, odzyskany w 2012 r.

WITAMY W HOLANDII

Często jestem proszona, aby opisać przeżycia związane z pojawieniem się w rodzinie dziecka niepełnosprawnego. Ma to pomóc innym ludziom w zrozumieniu, jakie uczucia temu towarzyszą.

A więc jest to tak: oczekiwanie na przyjście dziecka na świat można porównać do planowania wspaniałej, wymarzonej podróży do Włoch. Kupujesz wtedy mnóstwo przewodników i piszesz cudowny plan. Zobacysz Koloseum, dzieło Michała Anioła czyli posąg Dawida, weneckie gondole. Uczysz się pożytecznych włoskich zwrotów. To wszystko jest bardzo ekscytujące. Po miesiącach przygotowań nadchodzi wreszcie ten wymarzony dzień, pakujesz bagaże i... ruszasz w drogę.

Kilka godzin później samolot ląduje, a stewardesa mówi: „Witajcie w Holandii”.

- W Holandii? – krzyczysz – Co to znaczy? Przecież chciałam lecieć do Włoch, powinnam być teraz we Włoszech, całe życie marzyłam, aby zwiedzić Włochy! – Nastąpiła niespodziewana zmiana planów. Wylądowali Państwo w Holandii i musicie tu już zostać.

Ważne jest zrozumienie tego, że nie przywieziono Cię do jakiegoś strasznie okropnego i brudnego miejsca, pełnego zarazy, głodu i chorób. Jest to po prostu inne miejsce.

Zatem musisz tu wysiąść, kupić nowe przewodniki, nauczyć się całkiem nowego języka. Ale z drugiej strony, spotkasz tu ludzi, których w innym przypadku nie miałabyś możliwości poznać. Fakt, to całkiem inne miejsce. Z pewnością inne niż Włochy, może mniej atrakcyjne i pociągające, ale gdy już tu jesteś, wciągniesz pierwszy haust powietrza i rozejrzysz się dookoła zaczniesz nagle zauważać, że w Holandii są oryginalne wiatraki, rosną łąny przepięknych tulipanów i że to z Holandii, a nie z Włoch pochodzi Rembrandt.

Gdy inni, których znasz, będą wyjeżdżać i wracać z „twoich” wymarzonych Włoch, ty przez resztę życia będziesz mówić: „Tak, to tam właśnie miałam pojechać, tam planowałam być”. I żal z tym związany pewnie nigdy nie minie, gdyż utrata marzeń jest najbardziej bolesna. Lecz jeśli spędzisz całe życie, opłakując fakt, że nie dane Ci było dotrzeć do Włoch, nie dostrzeżesz w pełni, jak pięknym krajem może być Holandia.

Emily Pearl Kingsley, matka chłopca z zespołem Downa



Przepadł z Krotosem

rysunki współpracującego z „Informatorem Polskim” rysownika z Gliwic p. TADEUSZA KROTOSA



Duńskie kanapki - smørrebrød

Smørrebrød (dosłownie: „posmarowany chleb”) - tradycyjna duńska potrawa, serwowana w postaci kanapek składających się zwykle z kromki ciemnego żytniego chleba zwanego rugbrød, często posmarowanego masłem, margaryną lub innym tłuszczem, pokrytego dodatkami w postaci sałatki, kurczaka, tuńczyka, mięsa wołowego, pomidora itp. Smørrebrød z reguły spożywa się nożem i widelcem.

Smørrebrød narodził się w prostszej wersji zawierającej jako dodatki tylko ser lub kiełbasę. Został spopularyzowany przez pracowników jako prowiant sporządzany do pracy. Jego popularność wzrosła w dekadzie lat 80. XIX wieku, kiedy małe restauracje serwujące smørrebrød zaczęły pojawiać się w Kopenhadze. Smørrebrød znalazł się już w pochodzącym z 1883 roku menu kopenhaskiej restauracji Nimb w Tivoli. Jednym z pierwszych, który otworzył restaurację serwującą duński smørrebrød, był Oskar Davidsen. W menu otworzonej w dzielnicy Nørrebro restauracji zawarł 177 odmian tej kanapki. Obecnie już piąte pokolenie rodziny Davidsen podtrzymuje tradycję restauracji smørrebrød.

Przykładowe kanapki:

- Stjernesud - „spadająca gwiazda”, kanapka z krewetek, gotowanej białej ryby, smażonych filetów z flądry, szparagów, koperku, klinów z cytryny. Może także występować z dodatkiem ogórka i kawioru.
- Sol over Gudhjem - „słońce nad Gudhjem”, kanapka na bazie wędzonego śledzia z surowym żółtkiem, rzodkiewką i szczypiorkiem.
- Dyrlægens natmad - „nocne jedzenie weterynarza” - kanapka wielowarstwowa, najpierw warstwa pasztetu, a na niej plasterki wołowiny, potem kawałek galarety z mięsa ozdobiony surową cebulą i rzeżuchą.
- Pariserbøf - „befsztyk paryski”, kanapka z mięsa mielonego, surowego żółtka, cebuli, kaparów, chrzanu i buraków.
- Fiskefilet - „filet z ryby”, smażony filet z flądry z krewetkami, sałatą, pomidorem i remuladą (gęstym majonezowym sosem z warzywami tj. kapustą, ogórkiem i cebulą, o lekkim smaku curry).

Velbekomme! Smacznego!
UŚ



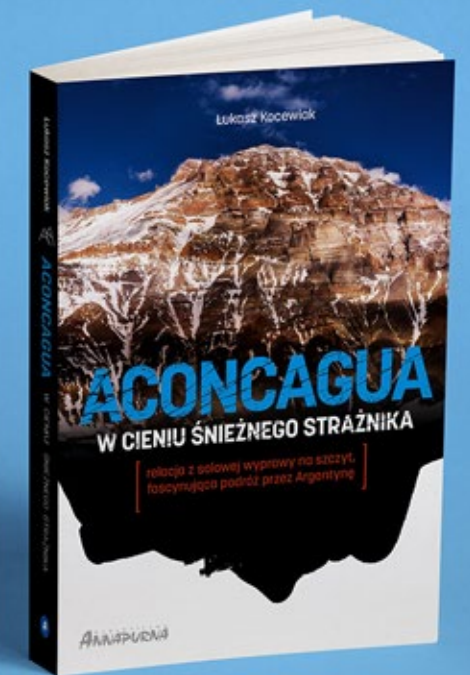
ACONCAGUA W CIENIU ŚNIEŻNEGO STRAŻNIKA

Dlaczego Aconcagua?

W języku Indian Keczua nazwa góry oznacza Białego Strażnika. Już dawno temu lokalne plemiona Indian przypisywały jej cechy ludzkie. Celowa antropomorfizacja pozwala w surowej i nieożywionej górskiej przyrodzie odnaleźć pierwiastek ludzki lub nawet boski, cechy nadprzyrodzone, które z jednej strony ściśle osadzają człowieka w hierarchii i uwypuklają jego małość wobec potęgi sił natury, z drugiej zaś

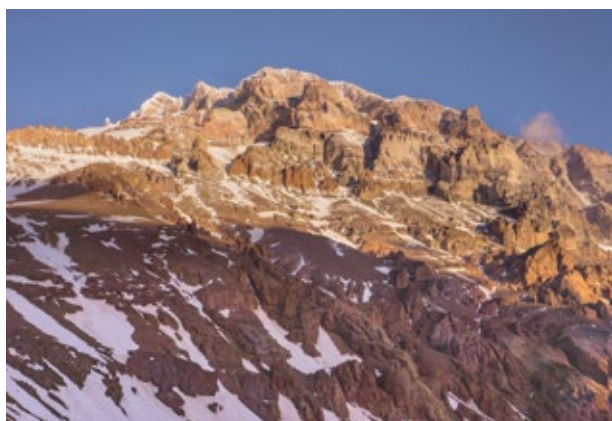
podkreślają znaczenie i miejsce w wielkim kręgu życia.

Dla autora Aconcagua jest Śnieżnym Strażnikiem, w którego cieniu wszystkie wyrzeczenia i zmagania podczas akcji górskiej nabierają głębszego charakteru. Nie jest kolejną górą, na którą się wchodzi, którą się zalicza, lecz czymś więcej. Pozwala przeżyć wyprawę w szczególny sposób, wypełniając plecak



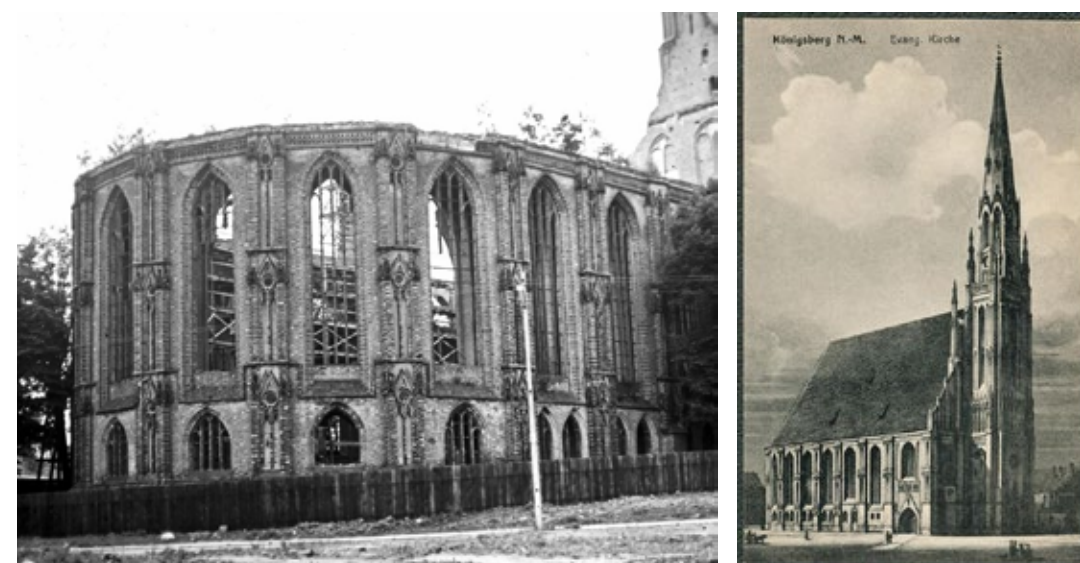
podróżnika bagażem nowymi, niezapomnianymi do końca życia doświadczeniami.

W książce autor zabiera czytelnika do serca Andów, gdzie sprawdza smak patagońskiej wołowiny popijanej winem z Mendozy, gdzie przy wspólnym yerba mate poznaje wyjątkowych ludzi, w których żyłach płynie indiańska krew oraz gdzie słodkim dulce de leche rekompensuje trudy surowego obozowego życia. „Aconcagua – w cieniu Śnieżnego Strażnika” to relacja z solowej wyprawy na najwyższy szczyt południowej hemisfery; opowieść o wyzwaniu, ale bez nadęcia, z lekką narracją i z przymrużeniem oka.



Łukasz Kocewiak – entuzjasta gór i górskich przygód, podróżnik. Organizator wypraw wysokogórskich w Himalaje, Kaukaz, Pamir, Hindukusz. Na co dzień z pasją i nieprzerwanie od sześciu lat prowadzi popularnego bloga podróżniczego Kartka z Podróży (www.kartkazpodrozy.pl). Wielokrotnie publikował na łamach magazynów o tematyce górskiej. W grudniu 2015 roku samotnie zdobył Aconcaguę – najwyższy szczyt półkuli południowej (6961 m n.p.m.), co dokładnie opisał w swojej pierwszej książce „Aconcagua – w cieniu Śnieżnego Strażnika”. Z wykształcenia inżynier elektryk, który zajmuje się badaniem harmonicznym i drgań chaotycznych. Najprawdopodobniej jedyny człowiek, który uprawia prąd i hoduje wiatraki, a swoją wiedzę i doświadczenie wykorzystuje przy budowie wielkich farm wiatrowych na wodzie. Pasja do podróżowania, fotografii i gór łączy się w harmonijny sposób i pchają go konsekwentnie do realizowania coraz to ciekawszych projektów. Od wielu lat wspina się w naszych polskich Tatrach oraz w górach wysokich na całym świecie. Zrealizował między innymi takie projekty jak: wyprawa samochodem terenowym po Saharze i pustyni Gobi; wyprawa na Uszbu, Pik Lenina, Noszak, Denali; 16.000 km pociągiem przez Azję.

Kościół Mariacki w Chojnie - skarbiec rzeczy nowych i starych



We wtorek 21 marca br. w bibliotece miejskiej w Chojnie odbyło się posiedzenie fundatorów, rady i zarządu Fundacji Kościół Mariacki w Chojnie. Został powołany nowy zarząd i nowa rada fundacji. Obowiązki prezesa Fundacji Kościół Mariacki powierzono proboszczowi parafii Świętej Trójcy w Chojnie ks. Janowi Zalewskiemu. Zastępcą prezesa został Peter Helbich z Hanoweru. Do zarządu zostali powołani: Reinhard Schmoock i Andrzej Lipiński.

Mam nadzieję, że rozpoczyna się nowy etap działalności Kościoła Mariackiego w Chojnie. Jako nowy prezes, który ze swego skarbcza wydobywa rzeczy nowe i stare, oprócz zasadniczych i koniecznych prac związanych z odbudową świątyni, chciałbym nadać nowy impuls ekumeniczny w kraju i we współpracy międzynarodowej. Rozwijając działalność kulturalną, turystyczną i edukację ekologiczną w ramach „Zielonego Kościoła” w duchu encykliki „Laudato si” (wł. Pochwalony bądź). Chciałbym, aby

Kościół Mariacki i parafia Świętej Trójcy tworzyły przestrzeń spotkań, modlitwy i braterstwa dla ogółu mieszkańców, nie tylko po obu stronach Odry, ale również dla Europy wschodniej i Skandynawii.

Warto przypomnieć kilka faktów z historii. Świątynię wzniesiono w latach 1389–1407. Kościół uległ zniszczeniu w 1945 r. Jest to obecnie 6. kościół w Polsce pod względem wysokości wieży (102,63 m). Wstępne prace nad odbudową kościoła mariackiego rozpoczęły się w 1986 r. Günther Kumkar i ks. prał. Antoni Chodakowski znaleźli wsparcie w środowisku chojeńskim do podjęcia działań nad odbudową kościoła. Polsko-niemiecki projekt znalazł wielu sprzymierzeńców dla realizacji tych ambitnych planów. W 1988 r. młodzież z Chojny i Hanoweru wspólnie uprzętała gruz i porządkowała teren. Z grona dawnych mieszkańców Chojny (Königsberg) oraz innych zainteresowanych osób powstało „Stowarzyszenie Wspierania Odbudowy

Kościół Mariacki w Chojnie“ z siedzibą w Hanowerze. W 1994 r. powołano do życia „Fundację Kościół Mariacki“.

W statucie zapisano m.in. następujące cele: odbudowa zniszczonego w wyniku działań wojennych Kościoła Mariackiego w Chojnie jako europejskiego zabytku, możliwość dysponowania świątynią jako miejscem spotkań ludzi obu stron Odry niezależnie od narodowości i języka na cele kulturalne i artystyczne dla propagowania europejskiego dorobku kulturowego, miejscem nabożeństw w duchu ekumenicznym dla wspólnot kościoła katolickiego, ewangelickiego i innych wyznań, pogłębianie kontaktów między narodem polskim i niemieckim w duchu dobrego sąsiedztwa.

W listopadzie 1997 r. śmierć przerwała działania Günthera Kumkara, a jego obowiązki po stronie niemieckiej przejął Peter Helbich. Od roku 1989 corocznie w końcu sierpnia odbywają się nabożeństwa ekumeniczne oraz dni Integracji, Przyjaźni i Ekumenizmu, koncerty muzyki poważnej, projekcje filmów, plenery fotograficzne, plenery plastyczne, warsztaty muzyczne i koncerty.

Jako nowy prezes zarządu Fundacji Kościół Mariacki w Chojnie zapraszam wszystkich ludzi dobrej woli do współpracy.

Ks. Jan Zalewski



Sakrament bierzmowania



Biskup Czesław Kozon



Ks. Jan Zalewski i biskup Czesław Kozon



Pastor Maria Harms, biskup Czesław Kozon i biskup Peter Fischer-Møller

Biskup Kopenhagi na bierzmowaniu w Chojnie

W piątek 23 czerwca 2017 r. w parafii pw. Świętej Trójcy w Chojnie odbył się uroczysty sakrament bierzmowania.

Do bierzmowania przystąpiły 32 osoby. Sakramentu bierzmowania udzielił na specjalne zaproszenie proboszcza parafii ks. Jana Zalewskiego, biskup Kopenhagi - Czesław Kozon. Wśród zaproszonych gości obok biskupa Kozonia obecni byli m.in.: biskup Roskilde Peter Fischer-Møller i pastor Maria Harms (Duński Narodowy Kościół Luterski), przedstawiciele duńskiej Federacji Polonia: Lidia Szuster oraz Urszula i Roman Śmigielski.

Kościół jest przede wszystkim miejscem, w którym można się spotkać, także pomimo podziału. Nie można stanowczo powiedzieć, że podział między dobrem a złem istnieje w każdym człowieku. Mimo, że jesteśmy zbawieni to i tak nadal jesteśmy grzesznikami. Musimy cały czas pokonywać zło i w tym duchu się spotykać - powiedział po zakończeniu uroczystości biskup Roskilde Peter Fischer-Møller.



Uczestnicy bierzmowania z gośćmi

Odwiedź stronę internetową
Muzeum Izba Polska

<http://www.polakkasernen.dk/pl/>

Besøg
Museum Polakkasernens
hjemmeside

<http://www.polakkasernen.dk>

